



**RADOSŁAW
PYFFEL**

WIZJA NOWEJ EUROPY



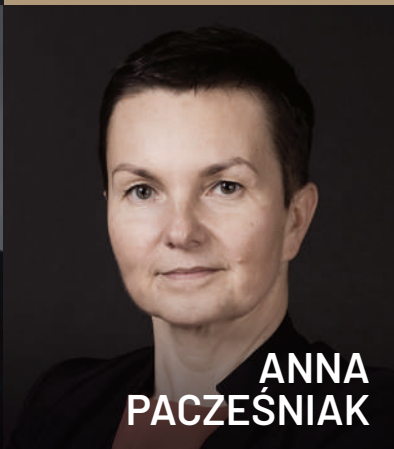
**RYSZARD
FLOREK**



**LESLIE
LENKOWSKY**



**WITOLD
MODZELEWSKI**



**ANNA
PACZEŚNIAK**



**MARCIN
ROSZKOWSKI**

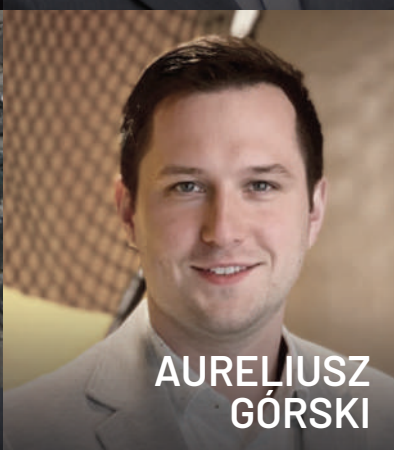


**BOGDAN
GÓRALCZYK**

ROZMOWY O PRZYSZŁOŚCI STAREGO KONTYNENTU



**ADAM
ZAMOYSKI**



**AURELIUSZ
GÓRSKI**



**DOMINIKA
ĆOŚIĆ**



**BOLESŁAW
BALCEROWICZ**



**ARTUR
BARTOSZEWICZ**

INSTYTUT NOWEJ EUROPY



**STJEPO
BARTULICA**



**EDWARD
WĄSIEWICZ**

Redakcja:

Michał Banasiak
Marcin Chruściel

Korekta:

Agata Kałamucka
Aleksandra Klimkowska

Zespół:

Artur Bartoszewicz
Maciej Buczkowski
Łukasz Kobierski
Julian Romuald Żelaznowski

Projekt logo INE:

Anita Zielińska

Projekt graficzny i skład:

Bożena Hornatkiewicz / OKABE
Krzysztof Olszewski / OKABE

Instytut Nowej Europy

www.ine.org.pl

Warszawa, 2019

JEŻELI DOCENIASZ NASZĄ PRACĘ, DOŁĄCZ DO GRONA NASZYCH DARCZYŃCÓW!

Z otrzymanych funduszy
sfinansujemy powstanie
kolejnych publikacji.

Możliwości wsparcia:

- bezpośrednia wpłata na konto
Instytutu Nowej Europy:
95 2530 0008 2090 1053 7214 0001
tytułem:
„darowizna na cele statutowe”
- przekazanie 1% podatku
na rzecz Instytutu Nowej Europy
nr KRS 0000775739.

Dziękujemy za Twoje wsparcie!



Prezes Zarządu

**ŁUKASZ
KOBIEŃSKI**



WIZJA NOWEJ EUROPY

ROZMOWY O PRZYSZŁOŚCI STAREGO KONTYNENTU

Współfinansowano przez Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego ze środków
Programu Rozwoju Organizacji Obywatelskich 2018-2030



Narodowy Instytut Wolności
Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego



PROO

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA	7
INFORMACJE O INSTYTUCIE	8
AUTORZY RAPORTU	9

ROZMOWY:

POLITYKA MIĘDZYNARODOWA dr hab. Bogdan Góralczyk	10
EUROPA A CHINY Radosław Pyffel	14
UNIA EUROPEJSKA Dominika Ćosić	18
ENERGETYKA Marcin Roszkowski	22
SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE dr Leslie Lenkowsky	26
PRAWO PODATKOWE prof. Witold Modzelewski	30
WYBORY dr hab. Anna Pacześniak	34
TECHNOLOGIA I INNOWACJE Aureliusz Górski	40
UNIA EUROPEJSKA Adam Zamoyski	46
EKONOMIA dr Artur Bartoszewicz	50
WOJSKO gen. Bolesław Balcerowicz	54
BIZNES Ryszard Florek	60
DYPLOMACJA dr Edward Wąsiewicz	64
FILOZOFIA POLITYCZNA dr Stjepo Bartulica	68



Szanowni Państwo!

Oddajemy w Państwa ręce - oczekując jednoznacznej, lecz konstruktywnej oceny - wynik naszej wspólnej pracy: pierwszą publikację Instytutu Nowej Europy. Mamy ogromne ambicje wywołania w nowych wymiarach, ale też włączenia się w obecnie prowadzoną, dyskusję na temat przyszłości Europy.

Można dyskutować o niej, o nas w niej i innych w niej, o naszych relacjach z innymi. My chcielibyśmy zaproponować dyskusję, w której wszyscy mówimy o Europie i krajach ją tworzących - my, a nie oni; razem, a nie osobno, za a nie przeciw, wspólnie a nie indywidualnie. A przede wszystkim - poszerzenie a nie wyjęcie. Instytut Nowej Europy jest młodą organizacją pozarządową, de facto powstałą tak niedawno, że wydawałoby się, iż jeszcze nie mamy się czym szerzej pochwalić. Jednak ostatnie miesiące to ogromna praca: zaczynając od pomysłu do powstania organizacji, w której ludzie stanowią ogromny potencjał. To okres nie tylko wielkiego zapału, ale też pierwszych projektów, o których będziemy informować na naszej stronie www.ine.org.pl

W okresie narzekania na brak autorytetów, brak punktu odniesienia i dewaluację wartości, chcemy jednoznacznie powiedzieć, że taka postawa nam nie odpowiada. Mądrych ludzi w Polsce i Europie jest pod dostatkiem, wartości i realnych treści również, więc jest się do czego odwołać, jeśli chcemy

budować coś nowego. To nieprawda, że wszystko, co najlepsze już było, a wizji dobrej i bezpiecznej przyszłości przed Europejczykami i wspólną Europą już nie ma. Ta przyszłość jest, bo jesteśmy my. Rozejrzyjmy się wokół i zauważmy, jak dobrze wykształceni, zaradni, odważni, odpowiedzialni, szanujący innych, kochający i przekonani, że warto budować są nadal Europejczycy. Nawet jeśli media kreują inny obraz, a politycy często wykorzystują słabości, to ludzie w Europie są w stanie zbudować Nową Europę na wzór swoich marzeń i wbrew swoim lękom.

Zadaliśmy szereg pytań ludziom, którym dziękujemy serdecznie za udział w tym przedsięwzięciu. Pytań o przyszłość społeczną, gospodarczą, polityczną Europy. O wyzwania, bariery, ale i potencjał, a przede wszystkim o pomysły na Nową Europę. Odpowiedzi zaskakują, pobudzają do polemiki. Mamy prawo się z nimi nie zgadzać. Jeśli jednak wpisują się w nasz punkt widzenia to wspaniale. Jeśli rozpalają emocje to jeszcze lepiej. Ważne abyśmy wszyscy uczestniczyli w dyskusji i uczyli się od siebie. Siła Europy to jej zróżnicowanie, koloryt, nietożsame ambicje, śmiech, łzy, gniew i zrozumienie. Wszystko jest Europą, wszystko może być materiałem do budowy jej taką jaką chcielibyśmy by zastały nasze dzieci i wnuki.

My, jako Instytut Nowej Europy chcemy przyczynić się do stworzenia jej nowej, lepszej wersji. Ta publikacja jej nie zmieni, ale może choć trochę przyczyni się do tego abyśmy poważnie o tej zmianie porozmawiali.

Zapraszamy do lektury i dyskusji.

Z wyrazami szacunku
dr Artur Bartoszewicz

Przewodniczący Rady Programowej
Instytutu Nowej Europy

INSTYTUT NOWEJ EUROPY



FUNDACJA INSTYTUT NOWEJ EUROPY

kontakt@ine.org.pl

Instytut Nowej Europy (INE) to organizacja pozarządowa prowadząca działalność analityczną i badawczą w obszarze gospodarki, polityki i systemu prawnego w kontekście krajowym oraz międzynarodowym. Nasza działalność ma na celu merytoryczne wspieranie procesów podejmowania strategicznych dla państwa decyzji poprzez przygotowywanie propozycji rozwiązań w formie postulatów do realizacji, a także konkretnych rozwiązań legislacyjnych i uczestniczenie w procesie wcielania ich w życie.

CZYM SIĘ ZAJMUJEMY?



INNOWACJE

- Przyszłość administracji publicznej
- Efektywna współpraca pomiędzy ministerstwami
- Polityka innowacyjna
- Polityka przemysłowa
- Cyfryzacja kraju
- Podnoszenie wiedzy ekonomicznej obywateli
- Smart City



STOSUNKI I BEZPIECZEŃSTWO MIĘDZYNARODOWE

- Infrastruktura i geopolityka
- Sprawy europejskie
- Trójmorze
- Bliski Wschód
- Wschód (tereny dawnego ZSRR)
- Wzmacnianie bezpieczeństwa Polski



PRAWO, PODATKI I SPOŁECZEŃSTWO

- System podatkowy
- Regulacje gospodarcze
- Analiza legislacji i monitoring życia publicznego
- Promocja zrównoważonego rozwoju
- Wspieranie rozwoju kulturowego kraju
- Działania na rzecz rodziny

Kontakt w sprawie współpracy: kontakt@ine.org.pl
Więcej informacji o Instytucie na stronie: www.ine.org.pl

AUTORZY



**MICHAŁ
BANASIAK**

Współpracownik Instytutu Nowej Europy.
Były dziennikarz TVP 3 Łódź i wysłannik
redakcji zagranicznej TVP.
Absolwent stosunków międzynarodowych
i studiów wschodnich Uniwersytetu
Mikołaja Kopernika w Toruniu.

**MARCIN
CHRUŚCIEL**

Członek zespołu i publicysta Nowej
Konfederacji, doktorant nauk o polityce
na Uniwersytecie Wrocławskim, badacz
integracji europejskiej. Wcześniej
konsultant w Regionalnym Ośrodku Debaty
Międzynarodowej we Wrocławiu.



DR HAB.
**BOGDAN
GÓRALCZYK**



Amerykańsko-chińska wojna handlowa, słabnąca pozycja liberalnej demokracji i wreszcie zmiany klimatyczne - wszystkie te elementy i wynikające z nich konsekwencje odegrają w najbliższych latach kluczową rolę nie tylko w kształtowaniu się ładu geopolitycznego, ale też bezpośrednio odbiją się na naszym codziennym życiu.

POLITYKA MIĘDZYNARODOWA

W wielowątkowym wywiadzie dyrektor Centrum Europejskiego Uniwersytetu Warszawskiego, sinolog i znawca węgierskiej polityki dr hab. Bogdan Góralczyk wyjaśnia, czy czeka nas podział na świat na amerykańską i chińską strefę wpływów, jaką rolę odegra w polityce międzynarodowej wyścig technologiczny i czy rządy autokratyczne będą zdobywać popularność.



Rozmawia
Michał Banasiak

Michał Banasiak:

Tuż przed naszym spotkaniem natknąłem się na artykuł dra hab. Dariusza Milczarka pt. "Warszawa między Brukselą a Waszyngtonem", który ukazał się w "European Studies" w 2005 roku. Wygląda na to, że teraz do tytułowych Waszyngtonu i Brukseli należy dopisać Pekin, a Warszawę można podmienić na każdą inną europejską stolicę.

dr hab. Bogdan Góralczyk:

Od czasu opublikowania tego artykułu, a więc w ciągu ostatnich czternastu lat, pojawiło się w geopolitycznej grze kilka nowych czynników. Tym, który najbardziej zmienia, a w zasadzie już nieodwracalnie zmienił świat jest *Trump factor* - czynnik Trumpa. Mamy amerykańskiego prezydenta, który nie walczy już o wartości. Nie walczy o prawa człowieka, nie interesuje go jakość opozycji czy system równowagi i kontroli władz - *check and balances*. Zamiast tego liczą się interesy. Trump woli dwustronne deale niż multilateralne platformy. Znamy jego stosunek do UE i wiemy, że jest negatywny. Ma zastrzeżenia nawet do NATO, nie wspominając już o G20. Nie możemy tego nie zauważać czy deprecjonować, bo chodzi przecież o najważniejszego przywódcę ciągle najsilniejszego mocarstwa świata.



Donald Trump wprowadził nas w epokę *power politics* - polityki siły i równowagi sił. W tym sensie mówi się o USA, Chinach, Rosji czy Turcji. A Unia Europejska? Nie ma własnej armii, nie ma wspólnej polityki bezpieczeństwa, nie ma jednej strategii wobec krajów rozwijających się czy nawet Chin. A zatem nie jest silnym graczem i potrzebuje głębokiej rekalkibracji.

W 2018 roku doszło do zasadniczej zmiany w stosunkach chińsko-amerykańskich. Przez prawie cztery dekady Chiny były beneficjentem tej relacji. Kissinger, a potem Brzeziński utworzyli z Chinami strategiczne partnerstwo przeciwko ZSRR. Jego cel się powiódł - Związek Radziecki upadł. Jednakże rok 1989 i wydarzenia z Tian'anmen zdawały się wskazywać, że to koniec sojuszu. Ale wówczas Chiny sprytnie otworzyły swój miliardowy rynek. Z jednej strony doszło do siłowego przesilenia, masakry, która wywołała na Zachodzie powszechne oburzenie. A z drugiej były tak różne przeciwieństwa polityczne. Ale Chińczycy powiedzieli wówczas: "one billion customers". I wszystkie amerykańskie czy niemieckie firmy poszły budować chiński socjalizm - to nadal była epoka zaangażowania. Potem administracja Clintona dobudowała do tego ideologię, że im więcej kapitału wejdzie do Chin, tym bardziej staną się one liberalne. Ale stało się dokładnie odwrotnie. I dlatego

w 2018 w amerykańskich strategiach bezpieczeństwa i obrony zapisano, że Chiny to największy przeciwnik. Zaangażowanie przerodziło się w strategiczną rywalizację. I tak już zostanie. Nawet wtedy, gdy Trump przestanie być prezydentem.

Dzisiejszej pozycji Chin nie dało się przewidzieć?

Język chiński uczy pokory, bo choćby się uczyć całe życie, to wszystkich znaków chińskich się nie pozna. Trzeba mieć zakodowany umiar, że wszystkiego pojąć się nie da. W chińskiej cywilizacji jest fantastyczne powiedzenie, że nie osądzaj drugiej osoby dopóki żyje. Bo dopóki żyje, to jeszcze może popełnić błędy. W tym sensie to podejście innej cywilizacji skłania mnie, żeby być ostrożnym w prognozach.

Byłem na Tian'anmen w '89. Gdyby wtedy ci studenci, którzy sprowadzili na plac kopię statuy wolności i chcieli prozachodnich Chin powiedzieli mi, że za trzydzieści lat ich kraj będzie tu gdzie teraz jest - wysłałbym ich na Marsa. Nawet wspomniane na początku czternaście lat temu taki scenariusz wydawał się science-fiction. Ale Chińczycy już są w naszym regionie, niezależnie czy definiujemy go jako Europę Środkowo-Wschodnią czy jako Unię Europejską. W 2013 roku zaproponowali prowadzące do Europy szlaki handlowe. Rok wcześniej, w Warszawie, Wen Jiabao ogłasza inicjatywę 16+1, która teraz jest już inicjatywą 17+1. Oni tu weszli i nie zamierzają wyjść, z czego jeszcze nie wszyscy zdają sobie sprawę.

Liderzy państw europejskich mają zatem wybór: korzystna oferta z Chin, zbliżenie z USA czy dalsze podejmowanie prób budowy silnej Unii Europejskiej.

Donald Trump wprowadził nas w epokę *power politics* - polityki siły i równowagi sił. W tym sensie mówi się o USA, Chinach, Rosji czy Turcji. A Unia Europejska? Nie ma własnej armii, nie ma wspólnej polityki bezpieczeństwa, nie ma jednej strategii wobec krajów rozwijających się czy nawet Chin. A zatem nie jest silnym graczem i potrzebuje głębokiej rekalkibracji.

W naszym regionie ścierają się dwa najsilniejsze organizmy gospodarcze świata. A my stajemy przed wyborem "kochasz bardziej mamę czy tatę"? Władze w Polsce jednoznacznie opowiadają się za sojuszem z USA, jakby nie było wyboru. Tymczasem istnieją strategie dwóch Jedwabnych Szlaków, jest inicjatywa 17+1. Chińczycy tu są i chcą tu być. Natomiast to nie jest tak, że oni przychodzą akurat do Polski. Dla nich najważniejszymi partnerami są Niemcy, Francja, Beneluks, kraje skandynawskie. A akurat przez Polskę prowadzi lądowy Nowy Jedwabny Szlak. I polskie władze, jeśli byłyby sprytne i rozsądne, powinny korzystać z tej okazji. Z wyraźnym zaznaczeniem, że interesy chińskie nigdy nie będą zbieżne z polskimi. Ale skoro Chińczycy tu są i chcą inwestować, to należy negocjować. Żyjemy w świecie turbulencji. A kiedy mamy turbulencje czy wichury, to lepiej nie trzymać się jednej gałęzi, jak my teraz, lecz dwóch czy trzech.

Przy czym my trzymamy się nawet nie jednej gałęzi, a jednej osoby. Nie wiem czy to rozsądne.

Można się trzymać trzech czy dwóch gałęzi, ale problem pojawia się wtedy, gdy te gałęzie zaczynają nas ciągnąć w przeciwne strony. Można balansować między umowami wojskowymi ze Stanami i kontraktami ekonomicznymi z Chinami, ale w końcu nadejdzie moment, gdy ktoś zagrozi odcięciem jednej z gałęzi.

To kwestia dobrej, szczwanej dyplomacji. W UE najważniejsze jest to, co zrobią Niemcy. A Niemcy gospodarczo będą się zwracać ku Chinom. Dlaczego? Bo największym przeciwnikiem Donalda Trumpa są - zaraz po Chinach - niemieckie mercedesy, czy audi. Trump nie chce ich widzieć na amerykańskich drogach. Taka sytuacja daje nam pole manewru. Nie jesteśmy skazani na przysłowiowy wybór między tatą i mamą, bo mamy jeszcze tego nie lubianego brata, zwanego Niemcem. I trzeba się na niego oglądać. Nie z miłości czy nienawiści, ale dlatego, że tak dyktuje nasz interes: nadal 30% obrotów handlowych Polska robi z Niemcami, a 80% z Unią. Czyli nasze interesy są tutaj i trzeba patrzeć co robi Europa, co robią Niemcy. W tym sensie możemy tu coś ugrać i z Chińczykami.

Za 15-20 lat dojdzie do podziału świata na dwie strefy wpływów?

W jakimś sensie grozi nam utworzenie zimnowojennego podziału świata na chiński i amerykański. Używam takiego zwrotu, że Huawei jest niekompatybilny z Fort Trump.

Chińczycy mówią, że wojny się nie boją i się z niej nie wycofają. Ale mówią też, że nie będzie w niej wygranych. No bo jak wykroić ze smartfona część chińską i amerykańską?

A propos smartfonów: wyścig technologiczny wydaje się być współczesną wersją zimnowojennego wyścigu zbrojeń.

Do trwającej już wojny celnej i handlowej dojdzie technologiczna, nie mam wątpliwości. Chiny mają swojego GPSa, odpowiedniki Google, Wikipedii czy YouTube. Czyli scenariusz dwóch odrębnych światów jest możliwy. Z tym, że to byłoby ogromne nieszczęście.

Chińczycy są bardziej zaawansowani od Amerykanów w pracach nad sztuczną inteligencją - chcą stworzyć kreatywne i innowacyjne społeczeństwo, kontrolowane przez tę sztuczną inteligencję. Są takie tendencje i w Europie też od tego nie uciekniemy. To są zdumiewające zmiany, których efekty trudno przewidzieć.

Na co dzień obserwuje Pan także węgierską scenę polityczną. W co najmniej kilku państwach europejskich poważną albo coraz poważniejszą rolę

odgrywają partie, które z zazdrością spoglądają na zabetonowaną przez Viktora Orbána scenę polityczną na Węgrzech. Będziemy obserwować wzrost znaczenia polityków, którym marzy się "drugi Budapeszt"?

Na Węgrzech "ta" zmiana już się dokonała. Tam już nie ma liberalnej demokracji. Liberalnej, to znaczy takiej, gdzie oprócz klasycznego trójpodziału władzy mamy jeszcze niezależne od rządu społeczeństwo obywatelskie i media. A tych dwóch elementów na Węgrzech brakuje. U nas, dla przykładu, sytuacja jest inna. Media są zagrożone, ale wciąż niezależne.



Huawei jest niekompatybilny z Fort Trump. Chińczycy mówią, że wojny się nie boją i się z niej nie wycofają. Ale mówią też, że nie będzie w niej wygranych. No bo jak wykroić ze smartfona część chińską i amerykańską?

Silne jest też społeczeństwo obywatelskie. Poza tym Orbán ma większość konstytucyjną. PiS czy podobnie postępujące ugrupowania w innych krajach nie mają tego komfortu. A to znacząca różnica, bo pożądanych zmian muszą dokonywać metodami pozakonstytucyjnymi.

Sytuacja jest inna, ale pewne podobieństwa do decyzji podejmowanych w przeszłości przez Viktora Orbána są uderzające.

Brak porównywalnej sytuacji nie oznacza, że nie ma tendencji idących w tę samą stronę. Są. A jest to związane z dwoma elementami. Kryzysem państwa liberalnego i kryzysem państwa socjalnego. Każde kolejne pokolenie miało mieć lepiej; a tu mamy młode pokolenie, któremu wbrew zapewnieniom rodziców, manna nie leci z nieba. Może się okazać, że to będzie pokolenie prekariatu. Możliwości ucieczki do Wielkiej Brytanii czy innych państw zachodnich kończą się, zwężają. W takich okolicznościach jest duża grupa niezadowolonych. A jeśli są niezadowoleni, to pojawiają się politycy, którzy zagospodarowują to niezadowolenie i wykorzystują do własnych czy partyjnych interesów. I to właśnie obserwujemy w Polsce, na Węgrzech, w Turcji, Wielkiej Brytanii, ale też na Filipinach czy nawet w Stanach Zjednoczonych.

Ten trend będzie się utrzymywał aż kontestatorzy dominującego od lat porządku obejmą władzę czy też nastąpi załamanie i odwrót?

Zagrożenia dla globalizacji i demokracji są strukturalne, czyli długotrwałe. Na okładce przedostatniego "Foreign Affairs" są Putin, Xi Jinping, Erdoğan, Orbán i Duterte, a wewnątrz jest kilka artykułów

mówiących o tendencjach autokratycznych. To niebezpieczne tendencje. Jeśli dalej będziemy szli tą drogą, to wejdziemy w scenariusz funkcjonującej w publicystyce paraleli do lat trzydziestych. Wiemy co było w latach trzydziestych. I może się okazać, że wchodzimy w te same kalosze.

Ale odwołam się raz jeszcze do Węgier. W języku węgierskim, który notabene jest dla mnie drugim po polskim, istnieje pojęcie *birka nép*. Można je tłumaczyć jako "naród potulny jak baranek". Ich społeczeństwo jest zupełnie inne niż nasze. Polskie społeczeństwo jest krnąbrne, nieposłuszne i indywidualistyczne. Polacy są z natury przeciwni aż tak potężnej władzy i nie można im jej narzucić. Dlatego nie obawiam się budapesztańskiego ekspresu na Dworcu Centralnym w Warszawie.

Amerykańsko-chińska wojna handlowa, wyścig technologiczny, rosnąca sympatia do ruchów negujących demokrację liberalną - to są wyzwania dla Europy dla kolejnych 15-20 lat?

Wszystko o czym mówimy jest mało ważne w zestawieniu z wydarzeniami z lata tego roku. Nie chodzi o Trumpa. Nie chodzi o wojnę handlową, Chińczyków, Merkel czy brexit. Chodzi o wydarzenia, które przez wielu nie zostały zauważone albo tylko pobieżnie odnotowane. Chodzi o wielkie pożary. Do naszych mediów na szczęście przebiły się informacje o płonącej Amazonii, ale w tym samym czasie płonęły lasy na Syberii. Fakt praktycznie przemilczany, a przecież pożary objęły teren państw Beneluksu. Płoną lasy w Indonezji, które znowu spowodowały ogromny smog w Singapurze, częste pożary mamy w Kalifornii, na Półwyspie Iberyjskim w Afryce. Płonie nasza planeta! Dołożmy do tego tempo topnienia lodowców. To nie są żarty. A jednak zdajemy się nie widzieć, że największe zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa, to zmiany klimatyczne. Do tego są, wcale nie mniejsze, zagrożenia ekologiczne.

Proponuję eksperyment: zbierajmy przez tydzień wszystkie produkowane przez nas odpady. Dopiero wtedy można sobie uświadomić, co my wyrabiamy. Nasza planeta jest za mała, żeby to zdzierżyć. Nie było problemu dopóki rozwiniętymi państwami były USA, Kanada, Japonia i kraje Europy Zachodniej. Ale kiedy dołączyły z ambicjami dogonienia a nawet przegonienia rozwiniętego świata półtoramiliardowe Chiny, półtoramiliardowe Indie, czy Indonezja, która za chwilę może być bardziej liczna niż USA, to znaleźliśmy się w innym świecie i ta planeta jest po prostu dla nas za mała. Problem jest tym większy, że Trump i Bolsonaro kwestionują, że jest jakiegokolwiek ocieplenie. A chyba już każdy widzi, że coś się dzieje.

Polityka uwzględniająca koszty planety związane z obecnością i działaniem człowieka wejdzie do głównego nurtu?

Elity rządzące na świecie, bez względu na ustrój, nadal

kierują się zyskiem. Nie ma świadomości globalnych zagrożeń. Poza proliferacją broni jądrowej. A zagrożenie ekologiczne i klimatyczne są bezprecedensowe. Przez wiele lat żyłem w megamiastach. Znam je dobrze: Bangkok, Manila, Dżakarta, Pekin. Szanghaj, New Delhi... I tam ten problem widać bardziej niż w Europie, gdzie mamy tylko dwa megamiasta: Paryż i Londyn. W Azji jest ich najwięcej i problem widać najostrzej, co dało mi do myślenia.

Niektórzy powoli to wszystko rozumieją. Chiny już wyprzedziły UE jeśli chodzi o przechodzenie na alternatywne źródła energii, na samochody elektryczne. Najpierw, to fakt, Chińczycy niezaprzeczalnie środowisko naturalne zniszczyli. Ale w końcu zrozumieli gdzie jesteśmy. Czyli pojawiają się elity myślące tymi kategoriami. I nie chodzi już tylko o partie Zielonych czy Greenpeace, ale o poważne ośrodki. W związku z pożarami lasów tropikalnych rząd niemiecki wyasygnował czterdzieści miliardów euro na walkę ze zmianami klimatycznymi.

Potrzebna jest edukacja społeczeństwa i jego nacisk na polityków czy to politycy we współpracy z ekspertami muszą wyznaczyć odpowiednie kierunki?

Przede wszystkim musi się to przebić do mediów. To media kształtują mentalność, także decydentów. Madeline Albright pisała w swoich pamiętnikach, że o wielu wydarzeniach dowiadywała się nie z depesz dyplomatycznych, ale z relacji CNN. Czyli kluczowe są media głównego nurtu i to, co podają. Zagwozdką pozostaje jak ukształtować te media, żeby były eksponentem takiego podejścia, bo przecież każde media są przez kogoś dotowane i ten ktoś oczekuje w to miejsce pewnych treści - a klimat czy ekologia może go akurat nie obchodzić. Jeśli nie zaczniemy się budzić, będziemy mieli coraz więcej problemów, coraz więcej płonących lasów czy wysychających rzek, albo też powodzi lub tornado. Ich skala jest na tyle duża, że nie możemy nadal twierdzić, że jest spokojnie i normalnie, bo nie jest - nie tylko w UE, na całym globie. To dobrze, że doszło do szczytu klimatycznego ONZ. Antonio Guterres ma rację, mówiąc: "Natura jest na nas zła. I będzie się na nas mścić z furją". Właśnie to widzimy.

RADOSŁAW PYFFEL



Regularnie kursujące pociągi z chińskimi towarami, Huawei robiący podchody pod budowę sieci 5G i plany powstania Nowych Jedwabnych Szlaków - o tym, że Chińczycy już są w Europie i że mają plany rozgościć się w niej na dłużej, chyba już nikogo nie trzeba przekonywać. Jakie to plany? Jak wpłyną na przyszłość Unii Europejskiej? Czego możemy nauczyć się od Chińczyków?

EUROPA A CHINY

Na te i więcej pytań odpowiada Radosław Pyffel, pełnomocnik Zarządu PKP Cargo ds. rynków wschodnich oraz kierownik studiów biznes chiński w Akademii Leona Koźmińskiego.



Rozmawia
Michał Banasiak

Michał Banasiak:

Profesor Bogdan Góralczyk, sinolog, twierdzi że Chiny są dla Europy szansą, zagrożeniem, wyzwaniem i problemem. W jakiej kolejności ułożyłby pan te pojęcia?

Radosław Pyffel:

Przedewszystkim to wyzwanie. A z tego jak Europa sobie z tym wyzwaniem poradzi, wyniknie albo zagrożenie, albo problem, albo szansa. Poza tym to też zależy od konkretnego kraju, bo w kontekście Chin trudno mówić o jednej Europie czy nawet jednej Unii. Już są kraje, które w tych relacjach wychodzą na swoje, ale wiele państw będzie mogło sporo stracić. Istotne też jak mierzymy sukcesy w kontaktach z Chinami i czy istnieje jakiś jeden obiektywny miernik takiego sukcesu. Patrzymy na wolumen kontraktów? Na bilans handlowy? Na liczbę inwestycji? A może na to, na ile udało nam się skłonić

Chiny do zaakceptowania lub wzięcia pod uwagę naszych rozwiązań, polityk społecznych, czy nawet stylów życia? Różne mogą być oczekiwania różnych krajów europejskich, co nie zmienia jednak faktu, iż Chiny są dla Europy bardzo ważnym egzaminem. Jeśli go nie zda, będzie powoli marginalizowana. Nie tylko w relacji do Chin – będzie maleć w obliczu całego świata pozaeuropejskiego.



Chiny są dla Europy bardzo ważnym egzaminem. Jeśli go nie zda, będzie powoli marginalizowana

Jak wobec tego widzi pan pozycję Europy za 15–20 lat?

Uczciwie będzie przyznać iż nie jestem specjalistą od polityki europejskiej, a większość z ostatnich 20 lat spędziłem poza Europą. I jeśli mam prognozować z tej perspektywy, czyli osoby, która obserwowała nasz kontynent przez ostatnie 20 lat z pewnego dystansu, to sądzę, że Europa będzie zmierzać w kierunku powstania twardego jądra Unii Europejskiej, ale nawet tworzące je kraje nie będą w stanie dotrzymać kroku Stanom Zjednoczonym i Azji. Jeśli mam ekstrapolować na podstawie obecnych trendów, to świat będzie się stawał coraz bardziej amerykańsko-azjatycki. Zamiast trzech wierzchołków, będą dwa. Europę, bardziej niż łąd światowy, będzie zajmować łąd wewnętrzny. Do tego powoli będą zyskiwać na znaczeniu inne kraje i regiony, np. Indie czy ASEAN. Pozycja jaką Europejczycy mieli w XX wieku wydaje się więc być nie do utrzymania.

W scenariuszu, w którym Europa nie jest zdolna rozdawać kart w światowej grze, staje się ona polem amerykańsko-chińskiej rozgrywki?

Trudno zastosować w stosunku do Europy pojęcie *swing state*, ale można powiedzieć, że stanie się takim

swing area. Będzie języczkiem u wagi. A w zasadzie już jest, co widać przy okazji 5G. W wielu sprawach kraje Unii Europejskiej ustaliły wspólną agendę z Chinami. Nie jest to korzystne dla Polski, bo łąd jaki obserwowaliśmy przez ostatnich trzydzieści lat znika. Istnieje spore ryzyko, że na stałe zniknie konsensus transatlantycki, który zapewnił nam dobrobyt i stabilność. A to może oznaczać wybór zerojedynkowy między Brukselą a Waszyngtonem. Wygląda na to, że w takim wypadku wybierzemy Stany.



Chiny, podobnie jak USA, nie mają obowiązku doprowadzenia do integracji europejskiej. To leży w interesie Europejczyków. Ale do tego trzeba chęci i umiejętności wyeliminowania wewnętrznych sprzeczności.

Nie ma wspólnej unijnej strategii wobec Waszyngtonu, nie inaczej jest względem Pekinu. Lista obecności na tegorocznym Forum Pasa i Szlaki wskazuje, że część krajów już zawiązuje bliskie relacje z Chinami, ale niektóre wciąż zachowują dystans i tylko się przyglądają. Liderzy próbują wyczuć kierunek wiatru i odpowiednio ustawić żagle?

Pamiętajmy, że Unia jest unią kilku obszarów: mamy twarde jądro na Zachodzie, jest Południe, są nowe, postkomunistyczne państwa – jak Polska, są też kraje skandynawskie. Dlatego trudno wypracować jedną strategię dla wszystkich. Każdy mówi o jednolitym stanowisku, a w praktyce bywa różnie. Gdyby zsumować potencjał ekonomiczny krajów europejskich, to byłoby to supermocarstwo większe niż Chiny czy Stany Zjednoczone. Ale w Europie nie ma jednego ośrodka decyzyjnego. I nic nie wskazuje na to, żeby miało się to zmienić. Świat pozaeuropejski, a zwłaszcza Chiny, ustalają agendę z poszczególnymi krajami i mają tym łatwiej, im bardziej Unia jest rozdrobniona.

Można oskarżać Chińczyków o próby dezintegracji Unii?

Chiny, podobnie jak USA, nie mają obowiązku doprowadzenia do integracji europejskiej. To leży w interesie Europejczyków. Ale do tego trzeba chęci i umiejętności wyeliminowania wewnętrznych sprzeczności.

Niektórzy liderzy europejscy z nadzieją patrzą na Pekin i oferowane przezeń błyskotki w postaci Funduszu Inwestycyjnego dla Europy Środkowej czy Nowej Jedwabnego Szlaku. Nie jest to krótkowzroczność, która może dać szybkie korzyści, ale na dłuższą metę będzie zagrożeniem?

Chiny w ramach różnych formatów przedstawiają różne, często kuszące propozycje. Oczywiście najbardziej

atrakcyjne są one dla samych Chin, ale będą też pokusą dla państw z Europy. To oznacza, że jedność europejska zostanie poddana próbie. Można się zastanawiać czy Fundusz jej nie rozbija, ale tak samo można podejść do chińskich kontraktów dla Airbusa. Albo pożyczek dla krajów południowej Europy. Reakcją mogłyby być próby odgórnego limitowania czy zakazywania danych działań Pekinu, ale nie przewiduję takiego scenariusza. Integracja europejska nie jest na tyle głęboka.



Chiny realizują jedną, klarowną wizję. Jest to możliwe, bo mają scentralizowany system podejmowania decyzji. W czasach postmodernistycznego rozdrobnienia ich władza jest skupiona. Ma jedną, spójną politykę i zdolność wprowadzania jej w życie. Nie ma grup interesów ...

Jak wobec tej niespójnej, podzielonej Unii będzie zachowywał się Pekin?

Chińska retoryka będzie bardzo pokojowa. Możemy spodziewać się haseł o harmonijnej współpracy, nowym pokojowym łańdźwie światowym, utrzymaniu jedności europejskiej i sytuacji win-win. Ale w praktyce, jak już wspomnieliśmy, skończy się na ustalaniu agendy z każdym z osobna. Kraje Europy się różnią, dlatego inne będzie podejście Chin do Niemiec czy Francji, inne do Bułgarii, Rumunii i Grecji, a jeszcze inne do Włoch, czyli pierwszego kraju z G7, który poprosił Azjatycki Bank Inwestycji Infrastrukturalnych o finansowanie.

Chiny będą traktować kraje europejskie jak partnerów czy jak klientów?

Relacje będą różne na różnych płaszczyznach. W kwestiach ekologicznych Europa może być partnerem. Podobnie w 5G. Ale na przykład jeśli chodzi o Afrykę, Niemcy i Francja mogą stanowić konkurencję. Na tym polu te kraje rzuciły Chinom wyzwanie i mają pewne pomysły i projekty. To pokazuje, że będą różne agendy i poszczególne kraje będą w konkretnych tematach skłaniać się ku Chinom albo ku Stanom. A może twarde jądro Unii będzie starało się zachować balans między Waszyngtonem i Pekinem? Przy aprobacie lub sprzeciwie innych krajów.

Jeśli będzie sprzeciw, to mniejsze kraje mogą być szantażowane przez Brukselę? Te kraje staną przed dylematem: Bruksela czy Pekin? Albo Bruksela czy Waszyngton?

Zakładając, że silniejsze kraje Unii uzyskają dużą przewagę, rzeczywiście mogą podjąć próbę dyscyplinowania. Są tacy, którzy upatrują w tym szansy dla Europy. Uważają, że narzucona dyscyplina da efekt w postaci głębszej integracji i wspólnego głosu.

Ale równie dobrze może to być zagrożenie, bo taki szantaż nie każdemu się spodoba. Wtedy zyskać może dawny koncept "Europy ojczyzn", według którego każdy decyduje za siebie. Tyle, że taka koncepcja, dając małe szanse podjęcie globalnej rywalizacji z Chinami. Ten dylemat między krępującą dyscypliną, a prowadzącą do rozdrobnienia swobodą, pokazując przed jak wielkim wyzwaniem stoi Europa.

Wiele zapadających w Europie decyzji wskazuje, że tutejsi liderzy dopiero uczą się kontaktów i rozmawiania z Chinami. Daje to Chinom przewagę już na starcie?

Chiny to kraj z pamięcią instytucjonalną. My w Polsce, w dalszym ciągu traktujemy je jako państwo postkomunistyczne, maoistyczne. A oni wszystko czym teraz grają już kiedyś stosowali. Trenowali to przez kilka tysięcy lat. Wszystkie strategie są zapisane w klasycznych chińskich dziełach. Na studiach biznesu chińskiego w Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie, rozpisujemy te strategie, ilustrujemy współczesnymi przykładami i nazywamy chińskimi słowami, tłumacząc na polski.

Skoro stosowanie sprawdzonych praktyk przynosi tak dobre efekty, to pewnie warto by z tej "chińskiej lekcji" skorzystać. Jakie wnioski powinniśmy wyciągnąć?

Chiny realizują jedną, klarowną wizję. Jest to możliwe, bo mają scentralizowany system podejmowania decyzji. W czasach postmodernistycznego rozdrobnienia ich władza jest skupiona. Ma jedną, spójną politykę i zdolność wprowadzania jej w życie. Nie ma grup interesów - jest jedna, wspólna polityka. W Polsce na przykład nie ma jednego ośrodka decyzyjnego. A tym bardziej w Europie.

Druga sprawa to kadry. W krajach europejskich, demokratycznych, elity wywodzą się nierzadko z showbiznesu. W Chinach kadry się kształtuje. Niektórzy powiedzą, że to indoktrynacja, ale z perspektywy Chin to dbałość o wykształcenie i przygotowywanie ludzi do objęcia władzy. Również praktyczne, bo taki Xi Jinping zanim zaczął rządzić państwem, zarządzał dwiema prowincjami wielkości krajów europejskich. Potem zasiadał w Stałym Komitecie Biura Politycznego Chińskiej Partii Komunistycznej, był szefem Komitetu Organizacyjnego Igrzysk Olimpijskich w Pekinie w 2008 roku. Na niższych i wyższych szczeblach zarządzał w sumie kilkadziesiąt lat, zanim zaczął sprawować najważniejszy urząd w państwie.

Żeby doprowadzić do zmiany, nie trzeba czekać na wybitne jednostki. Trzeba prowadzić dalekowzroczną i efektywną politykę. A żeby prowadzić taką w stosunku do Chin, trzeba te Chiny rozumieć. Do tego z kolei niezbędne są kadry, które mają odpowiednią wiedzę i rozumieją otaczający nas świat.

Czy w takim razie Europa jest gotowa na zwiększającą się obecność i rosnącą pozycję Chin?

Na pewno gotowi są Niemcy. I to na zarówno na wariant powstania twardego jądra Unii, które narzuci dyscyplinę innym krajom, jak i na działanie w pojedynkę. Sądzę, że dobrze to rozpracowali i widać, że mają pomysł. Nieźle radzi sobie Francja, wypracowaną agendę mają Włosi i Skandynawowie. Mocno próbują Węgrzy, ale ich działania polegają na zapowiadaniu otwartości i zgadzaniu się na wszystko. Póki co nie przynosi to efektów.

Wiele do zaoferowania Chinom na Wielka Brytania. Studiuje tam kilkadziesiąt tysięcy Chińczyków, którzy w przyszłości będą tworzyć chińskie elity. Także część krajów na pewno dobrze sobie poradzi.

Polska? Mamy tę przewagę, że niezależnie od podejmowanych przez nas wysiłków jesteśmy dla Chin na tyle ważnym krajem, położonym w tak kluczowym miejscu i mającym na tyle dużą przestrzeń do rozwoju, że mamy bardzo wiele furtek, które jeszcze przez jakiś czas pozostaną otwarte.

DOMINIKA ĆOŚIĆ



Przyszłość Europy bez wątpienia zależy od przyszłości Unii Europejskiej. Prowadzona przez nią polityka w największym stopniu oddziałuje na państwa członkowskie, ale ma też duży wpływ na sąsiadujących partnerów (Norwegia, Szwajcaria), konkurentów (Rosja, Turcja) i kraje aspirujące do bycia częścią UE (państwa bałkańskie).

UNIA EUROPEJSKA

Gorąca dyskusja nad tym czy integracja powinna być intensywniejsza, przeciągający się brexit i trudne rozmowy o unijnej przyszłości Bałkanów sprawiają, że bardzo trudno przewidzieć stopień współpracy, kształt i skład Unii za dwie dekady. Przetasowania na szczytach europejskiej polityki od kilkunastu lat zza kulis obserwuje i przybliża korespondentka polskich mediów w Brukseli, obecnie dziennikarka Telewizji Polskiej, Dominika Ćosić.



Rozmawia
Michał Banasiak

Michał Banasiak:

Zacznijmy od tematu z jednej strony bieżącego, a z drugiej kluczowego dla przyszłości Unii: co z tym brexitem?

Dominika Ćosić:

Wszyscy w Brukseli podkreślają, że strona unijna jest przygotowana na każdy możliwy scenariusz: brexit z umową, brexit bez umowy i brak brexitu.

Po październikowym szczycie Rady Europejskiej i kolejnym przesunięciu daty wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii, znów wszystko jest w rękach brytyjskich polityków. To co zrobią zależy od tego kto zwycięży w przedterminowych wyborach w Zjednoczonym Królestwie i co postanowi nowy rząd. Oficjalnie mówi się o tym, że przy optymistycznym scenariuszu, jeszcze w tym roku kalendarzowym Wielka Brytania opuści Wspólnotę. Ale po cichu wiele osób liczy, że jednak do brexitu nie dojdzie. Że w przyspieszonych wyborach władzę uzyskają labourzyści i – być może przy poparciu części torysów – będą mieli wystarczająco dużo mandatów, żeby rozpisać nowe referendum. A w tymże referendum Brytyjczycy zagłosują za pozostaniem w Unii. Ale to oczywiście wariant mający bardzo wiele znaków zapytania. Począwszy od kwestii związanych z wyborami, po wynik ewentualnego referendum. Przecież samo przeprowadzenie drugiego głosowania nie gwarantuje, że jego wynik będzie inny niż za pierwszym razem.



Brexit stracił swoją groźbę. Tuż po referendum był szok, niedowierzanie. Później - przerażenie, niepewność co dalej. I nagle, po 3,5 roku od referendum, okazuje się, że jesteśmy właściwie w tym samym miejscu.

Brytyjscy deputowani, z Jeremym Corbynem i północnoirlandzkimi unionistami na czele, przez wiele miesięcy mówili, że do wynegocjowanej przez premier May umowy trzeba wprowadzić poprawki. Tymczasem Bruksela stała na stanowisku, że umowa jest nienegocjowalna...

Na ostatnim szczycie wynegocjowano i przegłosowano nową umowę, z ustępstwami w sprawie backstopu, więc Unia pokazała wolę kompromisu...

...dla niektórych wciąż zbyt małą...

Wydaje mi się, że wszyscy doszli do ściany. Po ostatnich ustępstwach mówi się, że na kolejne już absolutnie nie ma miejsca – o ile nie zajdą jakieś nadzwyczajne okoliczności. Przecież każdą wprowadzaną zmianę muszą się zgodzić wszystkie kraje. Decyzję o samym brexicie też musi ratyfikować wszystkie 27 krajów.

Wyobrażasz sobie Unię bez Wielkiej Brytanii?

Trudno uzmysłowić sobie taką sytuację, bo zamieszanie wokół jej wyjścia doszło do takiego stopnia surrealizmu, że na dobrą sprawę rozważamy je w kategoriach abstrakcyjnych. Całe to wychodzenie, niewychodzenie, przekładanie, itd., sprawiło, że brexit stracił swoją groźbę. Tuż po referendum był szok, niedowierzanie. Później – przerażenie, niepewność co dalej. I nagle, po 3,5 roku od referendum, okazuje się, że jesteśmy właściwie w tym samym miejscu. Dlatego wiele osób – z politykami, dyplomatami i dziennikarzami włącznie – bardzo lekko podchodzi do rozważań o Unii “po brexicie”. Mówimy o tym jak o jakiejś abstrakcyjnej sytuacji. Ale kiedy wrócimy do sedna problemu to rodzi się bardzo wiele pytań, na które nikt nie zna odpowiedzi. Jakie będą relacje handlowe między Wielką Brytanią a Unią? Jak faktycznie będzie wyglądać granica? To niby jest powiedziane, ale pozostaje różnica między wyobrażeniem a rzeczywistością.

Wielka Brytania pozostałaby na kursie na niezależność, stała konkurentem Unii i zbliżyła ze Stanami Zjednoczonymi czy postawiłaby na bliską współpracę gospodarczą z UE?

Jeżeli do władzy dojdą tam pragmatycznie myślący politycy, postawią na rozwój obu kierunków. Z jednej strony oczywiście silne więzi transatlantyckie i współpraca z USA, ale z drugiej są bardzo mocne powiązania gospodarcze między Wielką Brytanią i Unią Europejską, których nawet brexit nie przerwie z dnia na dzień. Może będzie podpisana nowa umowa o współpracy? Niekoniecznie z Unią jako całością, a poszczególnymi krajami.

Spodziewasz się fali kolejnych “exitów” czy jednak przeciągający się brexit i jego oczekiwane reperkusje uzmysłowiły potencjalnym naśladowcom Brytyjczyków, że wyjście z Unii to nie taka prosta sprawa?

Początkowo część unijnych polityków chciała zrobić z brexitu pokazówkę i uświadomić innym, że nie tak łatwo się usamodzielniać, a jeśli nawet już się uda, to zyski nie przewyższają strat.

Jeśli Wielka Brytania straci na opuszczeniu Unii, to ci, którzy chcieliby dzisiaj iść w jej ślady wyhamują. W zasadzie już to robią, bo np. Marine Le Pen jeszcze kilka lat temu twierdziła, że chce wyprowadzić Francję z Unii, a teraz zmieniła ton i mówi o reformowaniu Unii od środka. Inna sprawa, że Unia bez Wielkiej Brytanii mogłaby się okazać Unią skazaną na geopolityczną dominację francuską i niemiecką. Co z kolei otworzyłoby drogę do przyspieszenia procesów wewnątrzintegracyjnych, które często to Londyn udaremniał.

Podczas gdy Wielka Brytania szykuje się do wyjścia, przed drzwiami do Unii drepczą państwa bałkańskie. I będą musiały jeszcze podreptać, bo Francuzi zablokowali rozpoczęcie rozmów akcesyjnych z Albanią i Macedonią Północną.

I dyplomaci, i dziennikarze są oburzeni francuskim wetem – dawno nie było takiej zgodności. To decyzja nieracjonalna, egoistyczna i szkodliwa. Przecież nie głosowano nad natychmiastowym przystąpieniem tych krajów do Unii, a jedynie nad rozpoczęciem negocjacji. Mogłyby one trwać 5, 10, 20 lat, a może nigdy nie zakończyłyby się powodzeniem. Ale chodziło o danie tym państwom perspektywy i docenienie pracy jaką wykonują w kierunku zbliżenia z Brukselą.

Zwłaszcza Macedonia Północna.

Macedończycy przeprowadzili liczne reformy gospodarcze, ale co najważniejsze, dokonali czegoś na Bałkanach niezwykle drażliwego i wrażliwego: zmienili nazwę państwa. To nie jest tylko suchy zapis: mówimy o kwestii związanej z poczuciem tożsamości i dumy narodowej. To był trudny krok, który podzielił społeczeństwo.

Dotegomielismyustępstwoze strony Grecji, bo przecież to Grecy domagali się zmiany nazwy i chociaż do takiej doszło to będący kością niezgody człon "Macedonia" pozostał. W macedońsko-greckie rozmowy włożono wiele wysiłku, osiągnięto kompromis i okazuje się, że w kontekście Unii niczego to nie zmienia. Macedonia Północna zyskała jedynie otwarcie drzwi do NATO.



Natura nie znosi próżni i jeśli Unia nie zainteresuje się Bałkanami, to odda pole superaktywnym w tym regionie Rosji i Turcji.

Doszukujesz się we francuskim wecie innych powodów niż wykorzystanie unijnego forum na użytek polityki wewnętrznej?

Nie. Emmanuel Macron zagrał wyłącznie na siebie. We Francji wizja rozszerzenia Unii wywołuje negatywne konotacje. Przed 2004 rokiem Francuzów straszono polskim hydraulikiem – to ze strachu przed rozszerzeniem Francja, wspólnie z Holandią, odrzuciła konstytucję europejską. Macron do tej pory nie poradził sobie z "żółtymi kamizelkami, z reformą wymiaru sprawiedliwości czy z protestami dotyczącymi kwestii światopoglądowych. Tak więc teraz postanowił – kosztem Unii – nie dawać Francuzom kolejnych pretekstów do krytykowania jego polityki.

Wszyscy zdają sobie sprawę, że na razie mowa jedynie o rozpoczęciu negocjacji. A czy jest faktyczna wola poszerzenia Unii?

I tak i nie. Juncker i kilku innych ważnych polityków unijnych twierdzili, że przed 2025 nie dojdzie do żadnego rozszerzenia. Ale niektóre kraje zabiegają o otwarcie się na Bałkany. Przede wszystkim Węgry, Chorwacja i Słowenia, którym zależy na stabilizacji w regionie. Coraz aktywniejsza na Bałkanach jest też Polska. Za rozszerzeniem zawsze optowała Wielka Brytania. Patrząc racjonalnie Niemcy również. Ale jest grupa państw reagująca alergicznie. Poza Francją, to np. wspomniana Holandia. W krajach Beneluksu słyszy się głosy, że już przyjęcie Bułgarii i Rumunii było błędem, bo nie ma tam dojrzałych demokracji. Zdaniem przeciwników rozszerzenia, pogłębiłoby ono podział Unii na Zachodnią i Wschodnią.

A jak oceniasz przygotowanie krajów bałkańskich do wejścia do Unii?

Dziś żadne państwo nie jest gotowe. Ani Macedonia Północna, ani Albania, Serbia, Czarnogóra, Bośnia i Hercegowina czy Kosowo. Ale podkreślam: rozpoczęcie rozmów powinno nastąpić, bo przygotowanie to jedno, a geopolityka to drugie. Natura nie znosi próżni i jeśli Unia nie zainteresuje się Bałkanami, to odda pole superaktywnym w tym regionie Rosji i Turcji. Bałkany zawsze były dla tych krajów naturalnym obszarem walki o wpływ. Serbię na przykład tylko w ciągu ostatnich tygodni odwiedzili prezydenci Putin i Erdoğan.

Gdyby jednak Unia nie odwróciła się do tych krajów plecami, to w jakich obszarach czeka je najwięcej pracy?

Walka z wszechobecną korupcją. Walka o tyle trudna, że korupcja powszechna jest na szczytach władzy. Do tego kwestie mniejszości narodowych i wzajemne stosunki między tymi państwami – tu mam na myśli zwłaszcza Kosowo.

I oczywiście bezpieczeństwo granic zewnętrznych. Jeśli Unia ma jakieś poważne obawy związane z otwarciem się na Bałkany, to w pierwszym rzędzie znajduje się kwestia imigrantów, którzy dość swobodnie napływając do państw bałkańskich, mogliby później przemieszczać się w głąb Unii.

Groźbę wpuszczenia na Bałkany i do Unii setek tysięcy, jeśli nie milionów imigrantów, jakiś czas temu umieścił w swoim arsenale prezydent Erdoğan. Zdaje się, że Turcja też będzie dla Brukseli dużym wyzwaniem w kolejnych latach.

Unia ma z Turcją duży problem i ograniczone możliwości poradzenia sobie z nim. Po pierwsze to rzeczywiście realna groźba "odkręcenia kurka" z uchodźcami i powtórka tego, co mieliśmy w 2015 i 2016 roku. Po drugie, Turcja jest w NATO: zbyt mocne naciskanie na Ankarę może spowodować, że ta zagrozi wyjściem z Paktu Północnoatlantyckiego. A takiego gracza lepiej mieć w strukturach NATO. Mimo zapędów dyktatorskich

Erdoğana, Turcja jest krajem w miarę stabilnym. Brzmi to cynicznie, ale rządy żelaznej ręki dają stabilizację, której nie ma w krajach, w których doszło do obalenia dyktatorów: Kaddafiego w Libii czy Husajna w Iraku. I kwestia numer trzy: diaspora turecka w Niemczech. Kilkumilionowa, coraz bardziej świadoma grupa. Zbyt gwałtowna reakcja wobec Turcji może zakończyć się protestami na ulicach niemieckich miast. Przedsmak tego mieliśmy, gdy Angela Merkel domagała się ukarania niemieckiego komika, w który w telewizji ZDF żartował z prezydenta Erdoğan.

“

Pojawiające się przy każdym kryzysie nawoływanie unijnych liderów: „jeszcze więcej integracji”, tylko pogłębia podziały. Dziwię się, że ci politycy nie zauważą, że ludzie reagują odwrotnie niż oni by chcieli.

Turcy są świadomi swojej siły, więc Erdoğan pozostanie przy polityce straszenia, bo jest ona skuteczna.

A wyobrażasz sobie powrót do rozmów akcesyjnych z Turcją? Po pierwsze, czy Bruksela widzi dzisiaj Turcję jako członka Unii i czy sama Turcja widzi się w Unii?

Nawszystkie pytania odpowiedź brzmi: nie. Spóźniliśmy się. Jeździłam do Turcji 10 lat temu i od tego czasu obserwowałam jak zmienia się nastawienie do Unii, ale też do NATO. Zmieniało się na coraz bardziej nieprzychylnie, wrogie. Turków zaczęła irytować rola permanentnej narzeczonej Unii. Mijały lata, a postępów w rozmowach nie było. I być nie mogło, bo nikt nie zgodzi się na przyjęcie 80-milionowego, muzułmańskiego kraju. Obie strony zdają sobie z tego sprawę.

W perspektywie 15 lat, Unia stanie się bardziej jednorodna czy jednak dające się już dzisiaj wyróżnić podziały wezmą górę?

To będzie Unia, w której podziały będą silniejsze. Próby przyspieszenia integracji i narzucenia systemu wartości mogą skutkować wzrostem liczby przeciwników Unii. Widać to zresztą po kolejnych wyborach do Parlamentu Europejskiego i poparciu dla ruchów eurosceptycznych. Podkreślam: nie antyunijnych, a eurosceptycznych. Bo nie chodzi o sprzeciw wobec idei Unii, a wobec kierunku rozwoju tej idei.

Pojawiające się przy każdym kryzysie nawoływanie unijnych liderów: „jeszcze więcej integracji”, tylko pogłębia podziały. Dziwię się, że ci politycy nie zauważą, że ludzie reagują odwrotnie niż oni by chcieli. Jeżeli liderzy nie odrobą lekcji, to czekają nas coraz częstsze i coraz mocniejsze konfrontacje „elit” z „ulicą”.

Co powinni napisać sobie na ściągę na ten egzamin?

Więcej słuchać i analizować, a mniej się obrażać. Mam na myśli wyniki wyborów w poszczególnych krajach, które okazują się nie być po myśli unijnych polityków. Zamiast mówić o tym, że populiści uwiedli ludzi i że wyborcy zostali zmanipulowani należy zastanowić się co przekonało obywateli danego kraju do zagłosowania akurat w taki sposób. Brakuje tego. Mam czasem wrażenie, część polityków żyje na jakiejś szklanej górze i nie ma kontaktu z obywatelami.

Druga sprawa to zrozumienie specyfiki poszczególnych krajów. Nie da się postawić znaku równości między np. Polską i Szwecją, bo te kraje mają różne doświadczenia, różną historię. A przecież to wszystko wpływa na naszą mentalność i obecną sytuację społeczną i polityczną. To jest kluczowe do uświadomienia sobie, że Unia nigdy nie będzie monolitem.

MARCIN ROSZKOWSKI



Konsumpcja energii na świecie nieustannie rośnie i jak wskazują prognozy - nadal będzie. W połączeniu z nierównomiernym rozłożeniem zasobów surowcowych i ograniczonymi możliwościami infrastrukturalnymi ich dystrybucji sprawia to, że energetyka pozostanie jednym z kluczowych elementów polityki międzynarodowej.

ENERGETYKA

Co robić, aby zadbać o bezpieczeństwo państwa? Jak rosnące zapotrzebowanie na energię pogodzić z troską o środowisko? Czy istnieje idealny model energetyczny? Odpowiedzi na te pytania szukamy w rozmowie z prezesem Instytutu Jagiellońskiego i współzałożycielem portalu BiznesAlert.pl Marcinem Roszkowskim.



Rozmawia
Michał Banasiak

Michał Banasiak:
Nowa Europa będzie Europą bez węgla?

Marcin Roszkowski:

Polityka klimatyczna i wszystkie inne polityki Unii Europejskiej, realizowane i planowane w ciągu ostatnich 15-20 lat, dążą do zeroemisyjności. Dekarbonizacja jest jednym z filarów tego działania, więc węgiel jest i będzie penalizowany. Przykładem może być "pakiet zimowy", który eliminuje możliwość dotowania nowych źródeł węglowych. Ale obecnie funkcjonujący system będzie działał jeszcze ładnych parę lat.



Polacy zauważyli, że powietrze pachnie i ma smak. I ocenili, że trzeba coś z tym robić. To się w następnych latach pogłębi. Będzie przyzwolenie, a może nawet presja, na przyspieszenie transformacji energetycznej.

Zeroemisyjność zapisana w unijnych dokumentach nie zawsze oznacza faktyczną redukcję zanieczyszczeń. Czasem to tylko działania pozorne.

Świetnym przykładem jest sektor hutniczy. Produkcja stali na terenie UE jest mocno karana, a jej zużycie w Unii wcale nie maleje. Czyli de facto huty wypychane są poza granice Wspólnoty, co na papierze pozwala ale zadośćuczynić regulacjom ograniczającym emisje, ale z punktu widzenia całej planety nie likwiduje problemu emisyjności.

Problemu, o którym coraz głośniejsze i coraz więcej mówią już nie tylko aktywiści ekologiczni.

Dużo się zmienia jeśli chodzi o świadomość społeczną. Dzisiaj ludzie zupełnie inaczej reagują na smog, brudne powietrze czy niską emisję niż reagowali 5-6 lat temu. Polacy zauważyli, że powietrze pachnie i ma smak. I ocenili, że trzeba coś z tym robić. To się w następnych latach pogłębi. Będzie przyzwolenie, a może nawet presja, na przyspieszenie transformacji energetycznej.

Tak jak np. w Krakowie, gdzie wprowadzono zakaz palenia w piecach paliwami stałymi. I jak się okazało, pozytywne efekty są natychmiastowe.

Przez swoje położenie w niecce, Kraków zawsze miał problemy ze smogiem. Teraz rzeczywiście zauważalne są duże zmiany, ale wiążą się one z kosztami dla mieszkańców. To czym palimy w piecach zależy od naszej zamożności. W dużej części przez biedę używane są takie "paliwa alternatywne" jak butelki PET. Świadomość społeczna rośnie, ale to nie znaczy, że wszystkich stać na ekologiczne rozwiązania. Wtedy wchodzi państwo z rozwiązaniami dotacyjno-siłowymi. W Krakowie mieliśmy dofinansowanie wymiany starych pieców. Na poziomie rządowym

są dotacje do fotowoltaiki czy programy termomodernizacyjne, polegające na bezpośrednim wsparciu finansowym albo zwolnieniu z płacenia podatków. Oczywiście to jest proces, więc nie zmienimy wszystkiego z dnia na dzień, ale ostatnie lata wzrostu działań i świadomości – co pokazuje przykład Krakowa – przynoszą efekty.

Jak proces rezygnacji z węgla odbije się na gospodarkach krajów polegających na węglu, jak np. Polska?

Emisyjność polskiej gospodarki to 863kg CO₂ na jedną megawatogodzinę wytworzonej energii elektrycznej. Spośród państw Unii Europejskiej tylko Estonia notuje wyższe wartości. Nasz sektor energetyczny będzie przez polityki unijne obciążany kosztami oddziaływania węgla na środowisko, co sprawi, że ta wysoka emisyjność będzie przez następne 5-10-15 lat powodowała dużą niekonkurencyjność rodzimej gospodarki. Już dzisiaj cena energii dla przemysłu w Niemczech jest niższa niż w Polsce.

Dekarbonizacja nie jest nowym pomysłem, a mimo to część polskich polityków postępuje tak, jakby było to dla nich zaskakujące działanie.

W ciągu ostatnich 6-7 lat nastąpiła integracja pionowa – sektora wydobywczego z sektorem wytwórczym. Problem polega na tym, że wytwarzane moce utrzymują poziom, a bardzo mocno spada wydobycie węgla kamiennego, energetycznego. Deficyt wypełniamy węglem z importu i to będzie największy techniczny problem w ciągu kolejnych 5-10 lat. Przez ostatnich 30 lat politycy mówili nam, że jesteśmy zabezpieczeni jeżeli chodzi o surowiec. Teraz okazuje się, że nowe kopalnie nie są otwierane, a nowa elektrownia węglowa – ostatnia – jest jeszcze planowana.

Co po węglu?

Niezależnie od wielkości naszego budżetu, dzisiaj nie ma technicznych możliwości, żebyśmy 100% energii pozyskiwali ze źródeł odnawialnych. Dlatego w naszym scenariuszu, podobnie jak w przypadku wielu innych państw, paliwem przejściowym jest gaz. Jego emisyjność wynosi mniej więcej 330 CO₂/MWH, więc spełnia kryteria politykach unijnych, dopuszczających maksymalną emisyjność na poziomie 550 kg CO₂/MWH. Podjęliśmy już pewne działania zmierzające do realnej dywersyfikacji źródeł dostaw gazu: budowa gazoportu w Świnoujściu i Baltic Pipe. Poza gazem idziemy w stronę offshore, czyli morskiej energetyki wiatrowej. Do tego dochodzą różne programy prosumenckie czy chociażby duża fotowoltaika. To wszystko już jest w realizacji i nie jest trudne do wprowadzania w życie.

Jest jakiś konkretny kraj, który można uznać za wzorowo prowadzący swoją politykę energetyczną i od którego powinniśmy się uczyć?

Każde państwo ma inne warunki i miało inny punkt startowy. Państwa skandynawskie, np. Norwegia, mają dużo zeroemisyjnych źródeł wodnych, czego fizycznie nie jesteśmy w stanie powielić. Słyszymy romantyczne historie o Duńczykach, którzy już odchodzą od gazu. Francja ma rozbudowany kilkadziesiąt lat temu sektor atomowy, czego dzisiaj też nie da się powtórzyć. Scenariusz żadnego z państw, które moglibyśmy w jakiś sposób wskazywać za wzór jest nie do powtórzenia jeden do jednego. Powinniśmy wybierać z poszczególnych miksów energetycznych i technologii te rozwiązania, które są najlepsze przy uwzględnieniu naszych warunków i samemu policzyć co z punktu widzenia bezpieczeństwa i ceny najbardziej nam się opłaca.



Rosja przez lata wykorzystywała to, że byliśmy uzależnieni od infrastruktury, która nie może powstać z dnia na dzień. Budowa Baltic Pipe i gazoportu powoduje, że do 2022 - razem z rewersami na granicach - jesteśmy w stanie fizycznie uniezależnić się od dostaw gazu z Federacji Rosyjskiej.

Jak mocno te zmiany wpłyną na wysokość rachunków konsumentów?

W polskim prawie taryfa G, dotycząca gospodarstw domowych, jest chroniona i na to jest zgoda polityczna. Ceny energii i ciepła będą wzrastać, ale wolniej niż dla reszty gospodarki. Ale oczywiście odczuwamy to pośrednio. Korzystamy przecież z produktów przedsiębiorstw, które to produkty będą droższe przez ceny energii dla ich producentów. CAPEXY, czyli koszty inwestycyjne zrealizowania elementów zapisanych w polskiej polityce energetycznej przekraczają kilkakrotnie kapitalizację wszystkich spółek energetycznych.

Strategia ministerstwa energii zakłada, że do 2030 roku energia pozyskiwana z odnawialnych źródeł energii będą stanowić 21% całej wykorzystywanej w Polsce. To dużo?

To nie jest dużo, zważywszy na aktywne działania znacznej liczby spółek - również państwowych. Ceny energii odgrywają istotną rolę w budżetach wielu przedsiębiorstw, więc jeśli ceny wzrastają albo przewiduje się, że wzrosną nawet o naście procent rocznie, to mamy do czynienia z dużym ryzykiem biznesowym. Tym samym pojawia się silny impuls do autogeneracji energii i budowania własnych źródeł odnawialnych.

Poza tym alternatywne technologie to paliw kopalnych jak gazy czy OZE (odnawialne źródła energii - przyp. red.) na lądzie i morzu są teraz tańsze niż generacja węglowa. Raport Instytutu Jagiellońskiego analizujący stan spółek wyraźnie pokazuje, że kiedy spada generacja na węglu, to rosną zyski spółek skarbu państwa.

Ekonomia to jedyny czynnik brany pod uwagę przy wyborze źródła pozyskiwania energii przez przedsiębiorstwa?

Każde źródło energii ma swoją charakterystykę biznesową. Różne są koszty początkowe, różne koszty inwestycyjne, CAPEX, różne koszty obsługi - OPEX. Do tego dochodzi inna wydajność każdego ze źródeł. Żeby móc to porównać, musimy dokonać ważenia i sprawdzić ile kosztuje megawatogodzina wyprodukowana w dany sposób. Przy dzisiejszych regulacjach, które biorą pod uwagę oddziaływanie środowiskowe paliw kopalnych, czyli emisję CO₂, a do tego m.in. koszty modernizacyjne, najtańsza okazuje się energia pozyskana ze źródeł wiatrowych na lądzie. Później mamy morską energetykę wiatrową, fotowoltaikę, gaz, węgiel kamienny, brunatny i na końcu energetykę atomową.

W Europie jest ok. 200 elektrowni atomowych. Będzie ich coraz więcej?

Na ukończeniu są elektrownie jądrowe na Węgrzech i na Słowacji. Są robione przy użyciu technologii rosyjskich i kredytowane przez Rosatom. Na drugim biegunie są USA, gdzie od parunastu lat nie postawiono nowego reaktora. We Francji też nie. Niemcy wycofują się z atomu. Przy dotychczasowych technologiach nie ma chętnych na budowę tego typu instalacji. To zimna, ekonomiczna kalkulacja. Jeżeli na giełdzie mamy cenę energii poniżej 300zł w podstawie, to nie ma powodu, żeby kupować prąd z elektrowni atomowych, który będzie kosztował 450 albo 550zł. Co innego nowe technologie jak SMR (*small modular reactors*, małe reaktory modułowe - przyp. red.) czy HTR (*high temperature reactors*, reaktory wysokotemperaturowe - przyp. red.), ale minie jeszcze parę lat zanim dostępne one będą powszechnie.

Wróćmy do gazu. W ostatnim czasie znacznie zdyswersyfikowaliśmy źródła jego pozyskiwania.

To jest element potrzebny do naszego bezpieczeństwa energetycznego. Po rządach Waldemara Pawlaka i kolejnym kontrakcie jamalskim na długoterminowe dostawy gazu, Polska jest nim związana do grudnia 2022. Rosja przez lata wykorzystywała to, że byliśmy uzależnieni od infrastruktury, która nie może powstać z dnia na dzień. Budowa Baltic Pipe i gazoportu powoduje, że do 2022 - razem z rewersami na granicach - jesteśmy w stanie fizycznie uniezależnić się od dostaw gazu z Federacji Rosyjskiej.

Czy rozbudowa infrastruktury i pozyskiwanie gazu z różnych źródeł może oznaczać, że Polska stanie się hubem gazowym?

Z kilku względów odpowiedź brzmi: nie. W ciągu kolejnych lat zużycie gazu wzrośnie prawdopodobnie o kolejne 10 mln m³. A wydobycie krajowe spada. W zeszłym roku to było 3,8 mld m³ w stosunku 4,5 w poprzednich latach. Nasze złoża nie są na tyle elastyczne, żeby zwiększyć ten poziom. A przy tym zużycie gazu w Polsce będzie rosło, poprzez elektroenergetykę, np. Elektrownia Dolna Odra czy, mam nadzieję, elektrownię Ostrołęka C. Do tego przez ciepłownictwo - jest ponad 100 lokalizacji, które muszą zostać zmodernizowane. Podsumowując: raczej nie będzie zasobów do eksportu, więc funkcjonalnie nie będziemy hubem.

Na Nord Stream 2 w pierwszej kolejności powinniśmy patrzeć jak na projekt polityczny czy jednak energetyczny?

Federacja Rosyjska lubi wykorzystywać surowce energetyczne do projekcji własnej siły i wywierania wpływu na różne obszary. Nord Stream 2 umożliwia obie rzeczy. Wpływy z eksportu surowców stanowią dziesiątki procent rosyjskiego budżetu. Dokładając do tego politykę klimatyczną mamy wysoki stopień oddziaływania geopolitycznego.

Do tego mamy Niemców, którzy robiąc interesy z Rosjanami łąnią solidarność europejską i nie widzą zagrożeń, które podnosi Polska i inne kraje. Niemcy uznają w politykach gospodarczych pierwszeństwo swojej gospodarki, niezależnie od tego jak ze względów bezpieczeństwa czy gospodarczych cierpieć będą partnerzy. Gaz jest elementem oddziaływania, wpływu, psucia poszczególnych demokracji. Widać jaką karierę robią niemieccy politycy w strukturach firm paliwowych czy energetycznych Federacji Rosyjskiej.

W branży energetycznej da się teraz uciec od polityki?

Wszystkie programy w energetyce będą programami nie tyle międzypaństwowymi, co współtworzonymi przez duże koncerny. Co niewątpliwie elementem politycznym.

USA mają tę przewagę nad innymi partnerami, że fizycznie posiadają nadwyżki gazu oraz fizycznie posiadają najsilniejszą armię świata. Połączenie tych dwóch rzeczy powoduje, że polski rząd dobrze zapatruje się na amerykańskie firmy energetyczne.

Z kolei w sektorach takich jak offshore mamy aktywnych Skandynawów. Gdzie indziej mocno działają Brytyjczycy czy Niemcy. To będzie ciekawy czas, bo to będą w dużej mierze wybory polityczne.

DR
**LESLIE
LENKOWSKY**



Mądre, rozsądne i bogate
społeczeństwo - utopia
czy bardzo trudny
do zrealizowania, ale jednak
osiągalny cel?

SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE

Rozmowa z dr. Leslie Lenkowskim, specjalistą ds. społeczeństw obywatelskich, byłym dyrektorem amerykańskiej agencji rządowej ds. wolontariatu i spraw społecznych (Corporation for National and Community Service).



Rozmawia
Michał Banasiak

Michał Banasiak:

Przez wiele lat – z różną siłą przebicia – wśród europejskich polityków krążyła wizja Unii Europejskiej jako „Stanów Zjednoczonych Europy”. Teraz wydaje się, że taki scenariusz został porzucony, a przynajmniej schowany głęboko do szuflady. Pana zdaniem ma on jakiegokolwiek szanse na realizację?

dr Leslie Lenkowsky:

Wizję pod nazwą „Stany Zjednoczone Europy” snuli już ojcowie-założyciele Unii. Tyle tylko, że korzenie USA i Wspólnoty Europejskiej są diametralnie różne. Ludzie, którzy przebyli Atlantyk i tworzyli Stany Zjednoczone Ameryki, byli sobie podobni. Pochodzili z różnych krajów, ale wszyscy szukali nowego miejsca do życia po tym, jak zostali wygnani ze swoich ojczyzn albo z nich uciekli. Na miejscu raz jeszcze dały o sobie znać ich buntownicze charaktery: trzymaście kolonii podjęto walkę o niezależnienie się od Wielkiej Brytanii i budowę odrębnego bytu. Zjednoczyła ich więc wspólna sprawa.



Jeśli komuś marzy się Unia jako federacja, to musi być świadomy, że jeśli w ogóle możliwe jest stworzenie takiego organizmu i „europejskiej tożsamości”, to jest to projekt na pokolenia.

A w Europie? Obywatele państw tworzących Unię byli mocno zakorzenieni w swoich krajach, związani ze swoimi narodami. Nie jednoczyli się wokół tych samych wartości. Po prostu chcieli zbudować coś nowego, co dałoby wszystkim korzyści płynące ze współpracy. I takie korzyści – handlowe, ekonomiczne – szybko się pojawiły. Ale do stworzenia transnarodowego rządu unijnego to nie wystarcza.

Dlaczego?

Tak jak na początku, tak i teraz kraje członkowskie przedkładają swój interes nad interes Wspólnoty. Poszczególne państwa mają własną historię, własną kulturę. Mało tego: one nawet same w sobie są nierzadko wielonarodowościowe. Mieszkańcy państw europejskich w pierwszej kolejności identyfikują siebie jako Polaków, Duńczyków czy Norwegów, a dopiero w dalszej kolejności myślą o sobie jako o Europejczykach. Do tak głębokiej współpracy, jakiej wizję niektórzy roztaczają, nie wystarczy załatwienie formalności i podpisanie kilku dokumentów – trzeba by zmiany myślenia u ludzi. Dlatego jeśli komuś marzy się Unia jako federacja, to musi być świadomy, że jeśli w ogóle możliwe jest stworzenie takiego organizmu i „europejskiej tożsamości”, to jest to projekt na pokolenia.

Obiecałem, że nie będzie dużo o europejskiej polityce, dlatego od razu przejdę do pana specjalizacji, czyli społeczeństw obywatelskich. Zanim porozmawiamy o nich w kontekście Europy, zapytam jak definiuje pan takie społeczeństwo?

Społeczeństwa obywatelskiego nie da się zamknąć w ramy definicji i zapisów prawnych. Najważniejsza jest postawa każdego obywatela: człowiek musi być dla drugiej osoby człowiekiem. Musi umieć nieść bezinteresowną pomoc i być gotowym podzielić się swoim czasem i kompetencjami. Wszystko inne w zasadzie wynika z powyższych kilku zdań.

Pod tym co pan powiedział podpisze się wiele osób, ale to jeszcze nie będzie oznaczać, że tworzą społeczeństwo obywatelskie.

To jest absolutny fundament, od którego wszystko się zaczyna. Ale rzeczywiście, na miano „społeczeństwa obywatelskiego” należy na tym fundamencie coś zbudować.

Przede wszystkim potrzeba tolerancji i szacunku. W społeczeństwie obywatelskim różnorodność poglądów jest czymś naturalnym i normalnym. Nikt nie ma problemu z tym, że istnieją organizacje, z których postulatami się nie zgadza. Dla przykładu: kilka lat temu Sąd Najwyższy USA wydał wyrok pozwalający na zawierania małżeństw homoseksualnych. To spotkało się z niezadowolaniem przeciwników takiej decyzji, których było bardzo wielu. Ale koniec końców zaakceptowaliśmy to. Bo w społeczeństwie obywatelskim chodzi o respektowanie prawa, szacunek dla drugiego człowieka i rozwiązywanie sporów, a nie ich zaognianie.

Mamy więc tolerancję i szacunek. Co dalej?

Następnym elementem, bardzo istotnym dla dziennikarzy, są otwartość i transparentność. To pojemne hasła, ale chodzi o to, żeby wszystkie dyskusje toczyły się publicznie. Różnice zdań trzeba wyrażać, a nie je ukrywać. Wiem, że w ostatnim czasie w Polsce także pojawiły się kontrowersje dotyczące wolności mediów. Nie będę udawał eksperta – wiem tyle ile czytam w amerykańskiej prasie, a zdaję sobie sprawę, że to niekoniecznie daje pełny obraz sytuacji w Polsce – niemniej jednak wiem, że są podejmowane próby ograniczania tematów dyskutowanych w telewizji, radiu czy gazetach. Nie można tego robić. Nikt nie powinien mieć zgody na odgórną moderację debaty publicznej. System mediów musi być w pełni otwarty. W jednym z ostatnich wydań „New York Timesa” znalazła się opinia jego wydawcy, Arthura Sulzenbergera, dotycząca zagrożeń dla wolności mediów na świecie. Punktuje tam drogę, którą obraliśmy, bo to droga oddalania się od społeczeństwa obywatelskiego.

Kolejna kwestia to chęć bezinteresownego pomagania drugiemu człowiekowi – aktywność obywatelska

i wolontariat. Amerykanie sami zajmują się wieloma kwestiami, za które w krajach europejskich odpowiadają rządy i samorządy. To co jest jedną ze składowych "amerykańskiej wyjątkowości": często mniej polegamy na rządzie, a bardziej na wzajemnej współpracy i pomocy w ramach wolontariatu.

“

Europa Środkowo-Wschodnia wciąż wychodzi z epoki komunizmu, gdzie władza centralna także była bardzo silna. A to oznacza, że droga do społeczeństwa obywatelskiego będzie dłuższa niż w USA, bo zanim rozpocznie się jego budowę, trzeba wyzbyć się przekonania, że "rząd wszystko załatwi".

W odniesieniu do powyższego rozumiem, że nie nazwałby pan społeczeństw europejskich obywatelskimi?

Nie da się udzielić jednej odpowiedzi dla wszystkich państw. Mają różną historię, są na różnych etapach rozwoju i funkcjonują w różnych realiach politycznych. W kilku krajach, z powodu nacisków obywateli na przesunięcie ciężaru polityki społecznej w stronę państwa opiekuńczego, politycy zaczęli szukać nie tylko pieniędzy w budżecie, ale też zachęt dla budowy społeczeństwa obywatelskiego. Efekty póki co są różne. Najlepsze w Wielkiej Brytanii, Niemczech i Holandii, ale nawet na ulicach Londynu czy Berlina, kiedy zapytamy przechodnia jak poradzić sobie z problemem narkotyków, powie że to robota rządu. W USA reakcje będą inne, bo tam świadomość społeczna jest na zupełnie innym poziomie i praktycznie każdy jest w jakimś stopniu zaangażowany społecznie.

Z czego brak bądź niski poziom tego zaangażowania wynika w przypadku mieszkańców krajów europejskich?

W USA rozwój szybki społeczeństwa obywatelskiego był możliwy dzięki słabości rządu centralnego. Kiedy Alexis de Tocqueville porównywał efekty francuskiej i amerykańskiej rewolucji, doszedł do wniosku, że w jego ojczyźnie zbyt dużo władzy skupionej jest w rękach rządu centralnego. Europa Środkowo-Wschodnia wciąż wychodzi z epoki komunizmu, gdzie władza centralna także była bardzo silna. A to oznacza, że droga do społeczeństwa obywatelskiego będzie dłuższa niż w USA, bo zanim rozpocznie się jego budowę, trzeba wyzbyć się przekonania, że "rząd wszystko załatwi". W niektórych krajach europejskich pokutuje jeszcze myślenie zakorzenione w czasach komunistycznych. Pod koniec lat 80. byłem w Związku Radzieckim. Pytałem wówczas ludzi czym jest dla nich wolontariat. W odpowiedzi słyszałem, że to poświęcanie wolnego czasu na wykonywanie czynności, o które prosi rząd, jak np. sprzątanie

podwórek szkolnych. Nie da się z dnia na dzień zmienić takiego sposobu myślenia.

A widzi pan wolę, żeby w ogóle je zmienić?

W Polsce pojęcie "społeczeństwa obywatelskiego" dla wielu ma negatywne konotacje, bo kojarzy im się z czymś kosmopolitycznym, świeckim – w znaczeniu antykościelnym. Mam zresztą wrażenie, że takie myślenie jest bliskie obecnemu polskiemu rządowi. A przecież idee społeczeństwa obywatelskiego mogą być blisko związane z organizacjami religijnymi, co pokazuje przykład naszego kraju. Jesteście krajem znacznie bardziej homogenicznym religijnie niż USA. Kościół katolicki odegrał bardzo dużą rolę w historii Polski, jest szanowany, ma duży wpływ na politykę i życie ludzi. Ale też nie każdy zgadza się z wartościami przez niego głoszonymi. Kluczowe będzie znalezienie równowagi między strachem przed nadmierną ingerencją kościoła w życie publiczne, a docenieniem tego co kościół może wnieść do społeczeństwa obywatelskiego. A może znieść bardzo dużo i u wielu zmienić jego postrzeganie. W USA działa to znakomicie.

Jak powinna zatem wyglądać droga przeobrażania się w społeczeństwo obywatelskie?

Jeśli w USA chcesz założyć organizację zajmującą się wolontariatem, to po prostu to robisz. I działasz. Nie potrzebujesz zgody rządu ani chodzenia od urzędu do urzędu. Trochę biurokracji pojawia się wówczas, gdy liczysz np. na zwolnienie z podatków. Ale to czyste formalności, bo nasza agencja podatkowa zatwierdza 99% wniosków składanych przez takie organizacje. To pokazuje, że przy tworzeniu społeczeństwa obywatelskiego państwo ma do odegrania swoją rolę. Ale ta rola powinna się ograniczyć do odpowiedniego przygotowania prawnego, zniesienia niepotrzebnych barier i ułatwienia pracy organizacjom obywatelskim. Poza tym edukacja, edukacja i jeszcze raz edukacja.

Od niej zaczyna się zmiana sposobu myślenia.

Kiedy odwiedziłem Polskę zobaczyłem, jak dobrze funkcjonuje tam harcerstwo. To świetna metoda na nauczanie postawy obywatelskiej, pomagania innym ludziom i zaszczepienia u dzieci i młodzieży nawyku wolontariatu. Bo wolontariat to nawyk. Uczymy się go tak samo jak ścielenia łóżka czy zmywania naczyń. Na początku może przychodzi to z trudem, ale potem po prostu to robimy.

W USA kładziemy duży nacisk na dzielenie się swoim wolnym czasem i na współpracę. Mamy np. programy, w których uczniowie szkół średnich spędzają czas z hiszpańskojęzycznymi imigrantami. Obie strony mogą w ten sposób uczyć się języka – angielskiego i hiszpańskiego. To akurat inicjatywa rządowa, ale świetnie wspierająca idee społeczeństwa obywatelskiego.

Na ile poziom obywatelskości zależy od zamożności kraju?

Oczywiście w bogatych społeczeństwach łatwiej dzielić się pieniędzmi, co pokazują dane; w 2018 roku Amerykanie przeznaczili na cele charytatywne ponad 400mld dolarów, co stanowi mniej więcej 80% PKB Polski. Nie należy tego odczytywać tak, że mamy nadzwyczajnie dużo bogatych ludzi, ale że nawet "zwykli" obywatele przekazują datki. Szacujemy, że od połowy do nawet dwóch trzecich amerykańskich gospodarstw domowych wspiera dobroczynność w ciągu roku. To taka demokratyzacja filantropii, która pokazuje, że bardziej niż grubość portfela liczy się nastawienie.

Wspomniał pan o roli, którą ma do odegrania państwo. Czy brak wsparcia od polityków, nawet jeśli to wsparcie miałoby polegać na daniu wolnej ręki, nie jest podszyty ich strachem przed utratą części wpływów?

Organizacje obywatelskie mają zdolność do przejmowania części władzy, a jako zorganizowane grupy potrafią być skuteczniejsze w walce o swoje cele niż pojedynczy obywatele. A zatem mogą stanowić dla polityków pewne zagrożenie. Ale politycy nie pozostają bierni i starają się wykorzystać te grupy do własnych celów, np. do zdania na ich barki części odpowiedzialności, przy jednoczesnym zachowaniu korzyści z realizacji jakichś postulatów. Jak? Chociażby przydzielając granty z pominięciem danych grup.

Organizacje obywatelskie często mierzą się z zarzutami o polityczne działanie.

Granica między grupą polityczną a niepolityczną jest bardzo cienka. Część z nich, nawet jeśli pozornie jest apolityczna, w rzeczywistości ma w swoich strukturach osoby powiązane politycznie lub korzysta z finansowania konkretnych grup interesu. Jeśli spojrzymy na krajobraz think-tanków działających w Waszyngtonie to możemy jeden po drugim klasyfikować je jako liberalne bądź konserwatywne. I chociaż think-tanki jako takie zwykle nie mają afiliacji politycznych, to osobom, które je tworzą i się z nimi w jakiś sposób identyfikują, już możemy przypisać sympatie polityczne. Dlatego trzeba być bardzo ostrożnym i mieć z tyłu głowy, że nie wszystko jest takie, jakie się wydaje.

Jak obywatel ma zatem zaufać takiej organizacji? Niemożliwym jest przeświadczenie każdego aktywisty i każdego darczyńcy.

Same organizacje powinny działać na tyle przejrzysto, żeby nie pozostawiać wątpliwości co do swoich intencji. Muszą wyjaśniać dlaczego zajmują dane stanowisko i dlaczego akurat dana sprawa znalazła w orbicie

ich zainteresowania. Stałem kiedyś na czele jednego z amerykańskich think-tanków. Akurat w okresie negocjowania NAFTA (Północnoamerykański Układ Wolnego Handlu - przyp.red.). Po podpisaniu tej umowy organizowaliśmy konferencję, w której mieli wziąć udział reprezentanci Republikanów i Demokratów. Problem polegał na tym, że wszyscy goście zgadzali się co do jednego: NAFTA to sukces. Tymczasem nasi darczyńcy dopytywali: dlaczego nie macie nikogo, kto jest przeciwko temu porozumieniu? W atmosferze ówczesnej euforii nie było łatwo znaleźć kogoś, kto nie cieszyłby się z pozytywnego zakończenia negocjacji, a jednocześnie nie będzie prezentował jakichś skrajnych, marginalnych poglądów. Ale żeby być fair, nie zaprzestaliśmy poszukiwań i ostatecznie mieliśmy na konferencji przedstawiciela związków zawodowych, który miał sporo pytań o kształt NAFTA. Oskarżenia i wątpliwości co do obiektywizmu będą zawsze. Zwłaszcza, że większość tematów, którymi zajmują się think-tanki czy inne organizacje pozarządowe to tematy nośne politycznie. Trzeba więc zrobić wszystko, żeby odciąć się od polityki i nie dawać pożywki krytykom.

Wyzwań dla europejskich społeczeństw wiele, a droga długa. Jak długa?

W czasie wizyt w krajach postkomunistycznych zaobserwowałem w nich podział społeczeństwa na trzy zasadnicze grupy. Pierwsza z nich to seniorzy, którzy z miejsca są gotowi na powrót komunizmu. Po wszystkich zmianach, które przeszli czują się niepewnie i nie mają niczego do stracenia. Druga grupa to osoby w średnim wieku, które dużo straciły, ale rozumieją, że mają wiele możliwości wcześniej niedostępnych. I wreszcie młodzi, gotowi cały czas przeć do przodu. Rozumieją, że czasy są trudne, ale podejmują wyzwanie budowy nowego świata. Ta budowa sporo potrwa, bo społeczeństwa obywatelskiego nie tworzy się na pstryknięcie palcami. Ile to potrwa? Sądzę, że dekady.

PROF.

**WITOLD
MODZELEWSKI**



Państwa członkowskie Unii Europejskiej wypracowały na przestrzeni lat wiele mechanizmów, które - chociaż mają zarówno zwolenników jak i krytyków - bezsprzecznie zmieniły i ułatwiły życie swoim obywatelom. Zniesienie kontroli granicznych oraz swobodny przepływ osób, towarów i usług to tylko dwa, bodajże najbardziej odczuwalne przykłady takich działań. Nigdy jednak nie udało się doprowadzić czy choćby wejść na drogę do ujednolicenia systemów podatkowych.

PRAWO PODATKOWE

Dlaczego tak się stało? Kto korzysta na zawiłościach prawa podatkowego? Jakie skutki dla integralności państw europejskich może mieć wzmacnianie pozycji przez międzynarodowe korporacje? Na te i inne pytania odpowiada profesor nauk prawnych i doradca podatkowy Witold Modzelewski.



Rozmawia
Michał Banasiak

Michał Banasiak:

Wiele mechanizmów wyłudzeń podatków, do jakich dochodzi w państwach europejskich, wynika z samego faktu istnienia różnych przepisów w różnych państwach. Czy jeśli założymy, że poszczególne rządy faktycznie chcą podjąć skuteczną walkę w tym zakresie, to wizja ujednoliconego prawa podatkowego w Unii jest realna?

prof. Witold Modzelewski:

W ciągu ostatnich dwudziestu lat wygenerowano największą katastrofę fiskalną w historii Europy oraz naszego kraju. Nigdy, żadne państwa nie doświadczyły takiej skali bezwzględnej utraty wpływów do budżetu z VAT i akcyzy. Suwerenność podatkowa to domena państw, a zatem żeby mówić o jednym unijnym ustawodawstwie dotyczącym VAT czy akcyzy, trzeba by mówić o powstaniu europejskiego państwa federacyjnego.

Mało kto stawia dzisiaj na taki scenariusz.

Za 15-20 lat możliwe są dwa warianty: przekształcenie się w Unii w coś na kształt ONZ, a więc w fasadową organizację, która nie jest samodzielnym graczem; ma swoje oficjalne rytuały, lecz pod tym płaszczkiem załatwiane są partykularne interesy i interesiki. Mówiąc krótko, ten wariant oznacza luźny związek nieprzeszkadzających sobie zbytnio państw. Druga opcja to wydzielenie się z obecnej Wspólnoty kilku krajów dążących do stworzenia „małej” federacji. I w ramach tejże, lepiej lub gorzej, można by rozwiązywać jednolicie problemy podatkowe poprzez bezpośrednie stanowienie prawa podatkowego.

“

Współczesne państwa nie prowadzą żadnej stanowczej, suwerennej polityki podatkowej wobec grup silnych interesów i korporacji korzystających z tej słabości; są im faktycznie podporządkowane.

Scenariusz powstania takiego organizmu rzeczywiście jest już jednak mało prawdopodobny, co na dobrą sprawę oznacza, że wizja tych wspólnego prawa podatkowego powoli przechodzi do przeszłości i poszczególne państwa poszukują własnych rozwiązań uszczelniających podatek od towarów i usług.

Różnice w systemach podatkowych i brak przejrzystości ich funkcjonowania ułatwiają procedury wyłudzeń podatku, ale też są na rękę międzynarodowym korporacjom, które mogą żonglować swoimi rozliczeniami pomiędzy krajami, w których prowadzą interesy.

Istota choroby polega na tym, że w Unii Europejskiej państwa członkowskie świadomie ograniczające swoją suwerenność w imię realizacji wspólnego rynku

i swobodnego przepływu towarów, usług i kapitału. A brak suwerenności na granicach wewnętrznych powoduje, że jesteśmy w mniejszym lub większym stopniu skazani na patologizację podatków, będących w jurysdykcjach poszczególnych krajów. Współczesne państwa z reguły kapitulują i nie rozwiązują skutecznie tych problemów. Nie prowadzą żadnej stanowczej, suwerennej polityki podatkowej wobec grup silnych interesów i korporacji korzystających z tej słabości; są im faktycznie podporządkowane. Przecież Polska nie zrezygnowała z wprowadzenia podatku cyfrowego dobrowolnie; zdecydował o tym prawdopodobnie rząd amerykański, który realizuje interesy kilku amerykańskich firm.

“

Zatraciliśmy pojęcie “interesu publicznego”. Unia Europejska często tego nie rozumie, nikogo to w rzeczywistości nie obchodzi. A jeśli system podatkowy nie jest podporządkowany interesowi publicznemu, to znika sens jego tworzenia i funkcjonowania.

Ale przecież każdemu politykowi powinno zależeć na tym, żeby do zarządzanego przez niego budżetu wpływało jak najwięcej pieniędzy z podatków.

Niekoniecznie. Zatraciliśmy pojęcie “interesu publicznego”. Unia Europejska często tego nie rozumie, nikogo to w rzeczywistości nie obchodzi. A jeśli system podatkowy nie jest podporządkowany interesowi publicznemu, to znika sens jego tworzenia i funkcjonowania. Przy jego braku, stanowienie prawa podatkowego prowadzi do patologii.

Mamy słabe, uległe państwa, które nie kierują się własnym interesem, ale interesami finansowymi korporacji, a czasami nawet aferzystów. Podejmowane są próby walki z takim stanem rzeczy, ale ktoś kto się na to porywa, od razu dostaje po łapach. Wielu ten stan odpowiada, dlatego jest tak stabilny.

Wymieniliśmy już oszustów podatkowych i międzynarodowe korporacje.

Destrukcją systemu podatkowego zainteresowane są instytucje finansowe. Taki układ istnieje od mniej więcej 30 lat. Instytucje te urosły do obecnych rozmiarów właśnie dzięki długowi publicznemu – dzięki temu, że musiały sfinansować dług publiczny państw, które w których mógł on być o połowę mniejszy, albo teoretycznie zerowy. Ale sektorowi finansowemu dobrze się żyje z długiem publicznym. Czym on większy – tym, o paradoksie, lepiej. Im więcej emituje się skarbowych papierów wartościowych – tym lepiej, bo dla instytucji finansowych to najlepszy rodzaj inwestycji. Nie w akcje, a właśnie skarbowe papiery wartościowe.

Wchodzi pan w bardzo szczegółowe mechanizmy, które dla przeciętnych obywateli są mało przejrzyste. Wobec tej nieprzejrzystości podnoszą głosy sprzeciwu. Mamy polityków, którzy chcą walczyć z – jak to nazywają – „banksterką i wielką finansjerą”.

Raczej w mniejszych niż w większych państwach mogą pojawiać się – i pojawiają – grupy polityków, które – mimo dyktatu ogólnej poprawności – będą jednak starać się doszukiwać interesu publicznego również w polityce prowadzonej w stosunku do banków. Nie odnoszą tu jednak sukcesów, bo umiędzynarodowienie banków nadaje im zbyt dużą siłę.

Politycy, o których pan mówi, to ci, którzy chcą się trochę uniezależnić od tej wszechwładzy „międzynarodowych” banków. Będą mówić o konieczności zaprzestania zwiększania długu publicznego, będą ograniczać deficyt budżetowy i walczyć z biznesem unikającym płacenia podatków. W Polsce już mamy takich polityków, co jest jednak sytuacją mało reprezentatywną w skali Europy. Ci politycy mobilizują gigantyczne siły przeciwko sobie. Są osamotnieni i pewnie – nie chcą być pesymistą – są na pozycji przegranej, bo do takiej polityki nie uda im się zbyt wielu przekonać.

A wydawałoby się, że bunt powinien być powszechny. Nikt nie lubi marnotrawienia publicznych pieniędzy. Co rusz słyszymy: „nie chcę, żeby szły na to moje podatki”.

My się buntujemy, ale mamy „wyrwane zęby”. To się nazywa „imposybilizm”. Pozostaje bunt intelektualistów czy sprzeciw tzw. środowisk opiniotwórczych. On jest potrzebny, bo – jak mówi teoria wentyla – intelektualiści muszą sobie co pewien czas pogadać. I dobrze, bo przecież tym sposobem lewicowa inteligencja, która odrzucała kapitalizm, w dużej mierze i na dość długo pomogła go naprawić. Jak to się mówi: „błogosław krytyków swoich, oni prawdę ci powiedzą”. Dlatego dobrze, że krytyka nie umiera i że można się dzięki niej czegoś nauczyć. Tylko, że krytycy nie bardzo mają do kogo mówić. Nie ma nikogo, kto weźmie ich hasła na sztandary, nie są w stanie nikogo wokół siebie zjednoczyć.

Czyli to taki bunt na papierze?

Cichy. I nieważny. Stara Europa szczęśliwie nie jest zdolna do podjęcia jakiegokolwiek wojny nawet tej, którą nazywamy „hybrydową” lub „ukrytą”. To świat rozbrojony, który nie wywoła między państwami wojny w znaczeniu przez nas dotychczas pojmowanym. Nie mamy armii i nikt nie chce umierać za swój kraj. To jest błogosławieństwo i jednocześnie przekleństwo pokoju. Błogosławieństwo, bo pokój sam w sobie jest najwyższą wartością. Przekleństwo, bo w warunkach pokoju nikt nie jest w stanie skutecznie zmienić tego, co mamy. Istniejący status quo ma bardzo silnych obrońców, dlatego ten stan rzeczy będzie się utrzymywać i pogłębiać.

Zaczęliśmy od unifikacji systemów podatkowych, a już po chwili jesteśmy w miejscu, gdzie snuje pan fatalistyczne wizje dla całych państw.

Drogą ucieczki spod dominacji wielkich i ponadnarodowych korporacji będzie prawdopodobnie cichy rozpad państw na mniejsze organizmy. I to będzie racjonalny krok, bo mniejsze struktury, paradoksalnie, mają większą szansę przetrwania oraz zachowania odrębności i tożsamości. Unia Europejska miała być wspólnotą wokół celów praktycznych. Wokół zadań, które będziemy razem rozwiązywać. Twórcom



Będziemy mieli publiczno-prawne wspólnoty Katalończyków, Irlandczyków, Walijczyków, Bawarczyków czy Toskańczyków. Często niezbyt liczne społeczności odnajdują jedność odwołując się do starych symboli, bo okazało się, że te wielkie molochy nie są w stanie sprostać wielu wyzwaniom współczesności.

przyswiecała wiara, że wspólnie lepiej poradzimy sobie z dużymi problemami. Ale tych problemów zaczęło być zbyt dużo. Do tego interesy ekonomiczne przestały być zbieżne, a niektóre społeczności zaczęły z powrotem patrzeć na „swoje” wartości i wracać do wspólnoty symboli. Wymownym przykładem wspólnoty wokół symboli, a nie np. interesów ekonomicznych, jest Polska. Z punktu widzenia ekonomicznego, nasz powrót na mapę świata był jedną z najbardziej niefortunnych operacji w historii. Wszystkie regiony odrodzonej przed stu laty Polski gospodarczo miały się lepiej pod zaborami niż w zjednoczonej Polsce. Ale kluczem była właśnie wspólnota symboli, która była dla nas dużo ważniejsza. I dlatego nasz nowy byt okazał się trwały.

Teraz takie wspólnoty pana zdaniem wrócą?

Wrócą. Będziemy mieli publiczno-prawne wspólnoty Katalończyków, Irlandczyków, Walijczyków, Bawarczyków czy Toskańczyków. Często niezbyt liczne społeczności odnajdują jedność odwołując się do starych symboli, bo okazało się, że te wielkie molochy nie są w stanie sprostać wielu wyzwaniom współczesności. Może w takim razie te małe twory – o paradoksie – będą bardziej odporne na infiltrację i zdominowanie przez interesy oligarchii finansowo-biznesowej. Mniejsze twory mają większą ochotę, a nawet zdolność do obrony. A przynajmniej przeciwstawiania się złu.

Małe państwo ma w starciu z wielkimi korporacjami poradzić sobie lepiej? Przecież traci swoją siłę przebicia.

Usamodzielniające się małe państwo również traci

mniej potencjalnych korzyści z podporządkowania się silniejszemu, niż państwa duże. Małe państwa mogą też być mniej narażone na stanie się polem starcia sprzecznych interesów wielkich korporacji. To syndrom „zbyt małej areny” albo peryferii, bo wielcy zawsze krzyżują miecze na ważnych arenach. Przez swoją kunktatorską politykę małe twory mogą też skutecznie walczyć o swoją niezależność – również podatkową.

Na czym miałyby polegać przewaga takich państw?

Przede wszystkim silniejsza legitymacja społeczna władzy. Dzisiaj problem polega na tym, że politycy sami nie wiedzą, kogo reprezentują i dlatego próbują dobrze żyć z mediami, lobbystami, grupami interesów. Dmuchaają na zimne i uległością zabezpieczają swoją przyszłość. A w małej społeczności małego państwa polityk ma jasny sygnał od tzw. ludu: jesteś naszym i tylko naszym reprezentantem. Reprezentantem naszego małego tworu, który ma się obronić, przetrwać. Nie umiesz tego robić? To won. Silniejszą legitymację dostaje również opór wobec silniejszego. Bo opór jest irracjonalny: „jestem Katalończykiem i będę bronił Katalończyków. Dlaczego? Bo ich reprezentuję”. Takiemu politykowi więcej wolno i przez to wzrastają jego szanse na sukces.

A to nie tak, że te małe twory, jeśli faktycznie uda im się uzyskać taką niezależność, będą izolowane? Staną się pariasami?

Ale to właśnie może być sposób na przetrwanie! Zejście z głównej osi sporu i skazanie się na pozostanie na peryferiach. Peryferia ostają się, kiedy upadają centra – to teoria Kondratiewa. Dobrze stać z boku głównych procesów. Tym sposobem udaje się uciec od wielu problemów i można się przekonać, że samemu też można wiele zrobić. Rozdającym dziś karty w wielkiej polityce jest to nie na rękę – nie chcą by rządzić zorientowali się, że sami też coś potrafią. Przecież istotą rządzenia i panowania jest przekonanie obywateli o tym, że władza jest im niezbędna. A tu okazuje się, rządzić umieją to zrobić sami.

To będzie największą zmianą jaka Pana zdaniem czeka Europę? Zamiast integracji międzypaństwowej, dezintegracja wewnątrzpaństwowa?

Mamy w Europie silne tendencje odśrodkowe. Wiele państw będzie się dzielić na mniejsze twory albo głęboko decentralizować. Rozpad dużych, dziewiętnastowiecznych tworów państwowych to pewny kierunek. Czekają nas powstanie nowych i usamodzielnienie się już de facto istniejących państw, takich jak np. Walia czy Szkocja. Te akurat już istnieją w sensie prawnym, ale muszą jeszcze przekroczyć niewidzialną linię „rozvodu”. Proces rozpadu czeka też np. Niemcy. Tamtejsza scena polityczna tym sposobem będzie się bronić przed rosnącą w siłę diasporą turecką.

Dezintegracja wewnątrz nie wyklucza współpracy tych mniejszych bytów na zewnątrz.

Państwa naszej części Europy będą w kolejnym pokoleniu umiały tworzyć zapomniane współcześnie związki wokół symboli – na przykład wokół podobieństwa języków. Nas, Słowian, przez ostatnie dziesięciolecie wyprano z istotności znanych nam od wieków związków językowych. Wmówiono nam, że to nie ma znaczenia. I teraz rzeczywiście nie ma, bo wszyscy mówią po angielsku. Ale takie regionalne związki wrócą.

Czyli związki, które w pierwszej kolejności nie są oparte o kwestie ekonomiczne?

Przykładem może być Trójmorze. To nie będzie proste, bo wielu przypadkach trzeba przełamać stare niechęci, mające nawet i sto lat. Na przykład istniejące silne resentymenty węgiersko-rumuńskie czy węgiersko-słowackie. My też musimy uważać, bo często jesteśmy podejrzewani o „polski imperializm” i chęć dominacji. Jesteśmy najsilniejszym tworem w regionie, będącym zarazem najbardziej na cenzurowanym. Postrzegają nas jako tych złych, jako Słowian-judaszy. Wielu, np. Litwini czy Ukraińcy budowali swoją obecną tożsamość wokół niechęci do polskości. Dlatego niech nas Bóg strzeże przed jakimś polskim federalistą, którzy zamarzy sobie, żebyśmy stali na czele jakiejś słowiańskiej federacji, przejęli rolę lidera. Taka rola jest zbyt kosztowna i z góry skazana na klęskę. Ale mamy chyba na tyle rozsądną klasę polityczną, że nikt się na tę drogę nie zdecyduje.

DR HAB.
**ANNA
PACZEŚNIAK**



Rok 2019 był w Polsce rokiem wyborów do Parlamentu Europejskiego oraz do parlamentu krajowego. W kampanijnym zamieszaniu trudno było o dyskusję dotyczącą kształtu samych wyborów, ale jak się okazało, to on - kolejny raz - miał kluczowy wpływ na rozkład mandatów poselskich.

WYBORY

Jakie zmiany w ordynacji wyborczej warto przemyśleć? Kto najbardziej korzysta na przeliczaniu głosów na mandaty metodą d'Hondta? Dlaczego partie polityczne umieszczają na listach celebrytów? Wyborcze zawiłości rozjaśnia dr hab. Anna Pacześniak, politolożka z Uniwersytetu Wrocławskiego.



Rozmawia
Michał Banasiak

Michał Banasiak:

Jakie zmiany w systemie wyborczym w Polsce można - a może trzeba - przemysleć?

dr hab. Anna Pacześniak:

Mamy proporcjonalną ordynację wyborczą, ale w parlamencie reprezentowane jest bardzo wąskie spektrum poglądów naszego społeczeństwa. Podział na dwie dominujące opcje to zdecydowanie za mało. Dlatego warto zastanowić się nad obniżeniem progu wyborczego albo zmianą metody liczenia głosów z formuły d'Hondta na inną, wierniej oddającą wolę wyborców wyrażoną w głosowaniu. Wśród naszych polityków cały czas jest jednak trauma 1991 roku i bardzo rozdrobionego parlamentu. Ale czy po trzydziestu latach i przy bardziej proporcjonalnej formule przeliczania głosów na mandaty, mielibyśmy teraz ten sam efekt? Zrobiłabym taki eksperyment, żeby zobaczyć jaki układ sejmowy by się z tego wyłonił. Mówi się, że przy małej liczbie partii w parlamencie i braku konieczności formowania koalicji gabinetowej decyzje podejmowane są szybciej. Ale nie uważam, że szybkość działania za najważniejszą zaletę. Obserwowaliśmy to przez ostatnie cztery lata. Nawet senat, czyli teoretycznie izba refleksji, działał ekspresowo, jeśli taka była potrzeba. Mam wątpliwości czy to dobre dla legislacji. Skuteczność to jedno, ale istotna powinna być też reprezentatywność parlamentu. Dlatego próg można by obniżyć do 1-2% i przeliczać głosy na mandaty w bardziej proporcjonalny sposób. I zobaczyć, jaki byłby efekt.



Istotna powinna być też reprezentatywność parlamentu. Dlatego próg można by obniżyć do 1-2% i przeliczać głosy na mandaty w bardziej proporcjonalny sposób.

Istniejący próg wyborczy w połączeniu z metodą przeliczania głosów sprawił, że władzę samodzielnie sprawuje Prawo i Sprawiedliwość, chociaż zagłosowało na tę partię o blisko 2,6 miliona obywateli mniej niż łącznie na inne ugrupowania. Cztery lata temu wyborców PiS było 4 miliony mniej niż głosujących na inne ugrupowania - 5,7 mln na PiS, 9,5 mln na inne partie. Ponad 2,5 miliona (16% wszystkich) wyborców w ogóle nie miało swoich przedstawicieli w Sejmie.

Klasa polityczna przed 1993 rokiem przyjęła taką ordynację, która faworyzuje najsilniejsze partie. One trafiają do parlamentu. Kto może to zmienić? Parlament. Trzeba by więc nakłonić beneficjentów obecnej ordynacji do zmiany. Na dopuszczenie do debaty większej liczby partii będących teraz poza parlamentem.

Mieliśmy taką sytuację we Francji, w 1986 roku. Wówczas rzeczywiście zmieniono ordynację z większościowej na proporcjonalną, ale już po dwóch latach wrócono

do starej. Aktualnie obowiązująca cementuje system jeszcze bardziej niż u nas. Front Narodowy, przekształcony teraz w Zjednoczenie Narodowe, wygrał wybory do Parlamentu Europejskiego w 2014 i w 2019 roku. Przed ostatnimi wyborami krajowymi mieli wysokie poparcie w sondażach. Ale przez system większościowy i głosowanie w dwóch turach, w wyborach parlamentarnych uzyskali tylko kilka mandatów.

Nie jestem też za wprowadzeniem JOW-ów. Są odmianą systemu większościowego i bardzo spłaszczają obraz polityki. W efekcie mielibyśmy jeszcze więcej wyborców, którzy nie mieliby swojej parlamentarnej reprezentacji niż po 2015 roku.

Od pewnego czasu da się zauważyć niepokojący trend: politycy wypowiadają się na każdy temat z pozycji autorytetu, a ich wyborcy niemal bezkrytycznie przyjmują różne twierdzenia tylko dlatego, że pochodzą od osoby, na którą głosują. Opinia kogoś innego, choćby faktycznego eksperta, się nie liczy, bo on nie jest z mojej bajki.

Chcemy sobie uprościć ogląd świata. Na podstawie jednej informacji o danej osobie, przypisujemy jej zestaw cech. Redukujemy w ten sposób dysonans poznawczy i szufladkujemy ludzi. Sama łapię się na tym, że kiedy widzę kogoś kto kupuje daną gazetę, automatycznie pojawia się myśl: "aha, już wiem na kogo głosuje". To bardzo niebezpieczne, bo jeśli dalej będziemy iść w tym kierunku, to coraz trudniej będzie nam ze sobą rozmawiać. Właśnie ze względu na różne poglądy polityczne.

Politycy oczywiście wspierają tu szufladkowanie. Dzielą świat, starając się pokazać go jaśniejszym - co nie oznacza, że prawdziwszym. Taka tendencja jest zauważalna nie tylko w Polsce.

Mam wrażenie, że wiele osób zaczęło utożsamiać się partiami jak z klubami piłkarskimi. Ważne, żeby nasi wygrali. Żeby dokopać innym.

Walka polityczna przeniosła się do domów, za świąteczne stoły. Popieramy każde działanie danej opcji politycznej, bo przecież to nasi. Na polskim podwórku to bardziej charakterystyczne dla wyborców Prawa i Sprawiedliwości. Zwolennicy drugiej strony są bardziej krytyczni, potrafią wytknąć błędy, ich poparcie jest warunkowe.. Kontynuując pana piłkarską metaforę: w przypadku obecnej opozycji bardziej wygląda to jak z kibicowaniem reprezentacji narodowej. Jeśli wygrywa, to mówimy, że my wygrywamy, a kiedy przegrywa, to mówimy, że oni przegrywają.

Będziemy tym bardziej podzieleni, im bardziej podzielona i zabetonowana będzie polska scena polityczna?

Albo zaczniemy odcinać się od polityki i będziemy sobie

szukać swojego miejsca. Tak jest na Węgrzech, gdzie od 2010 w zasadzie niepodzielnie rządzi Fidesz. Opozycja jest rozdrobniona i bezsilna. Ludzie to zauważyli i skoro kolejne elekcje nie przynoszą zmiany, to próbują po prostu odnaleźć się w istniejących realiach. Walka polityczna to jedno, ale przecież każdy chce dobrze żyć, pracować. Podobny trend obserwujemy w Serbii. Tam polityka jeszcze bardziej wkracza w życie ludzi, bo jeśli nie popierają partii rządzącej, to mają problem ze znalezieniem pracy. Nie tylko w sektorze publicznym, ale nawet prywatnym.

W obu przytoczonych przez panią państwach władzę sprawują partie, określane mianem "populistycznych". Takie ruchy będą zyskiwać poparcie także w innych krajach?

Wśród politologów moda na badanie populizmu pojawiła się jakieś dziesięć lat temu. Potem przycichła, ale mamy jej nawrót, ponieważ populiści weszli do głównego nurtu polityki, czego jednym z przejawów był wybór Donalda Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Politycy próbują pokazać, że mają proste rozwiązania na skomplikowane problemy. Ale to tak nie działa. Na wiele problemów nie ma prostych rozwiązań, czego dowodem jest na przykład brexit. Miało być szybko i łatwo, a okazuje się, że partie polityczne sobie z tym nie radzą. Kolejni politycy i klasa polityczna nie są w stanie wyjść z tego pata. I nie chodzi tylko o brytyjskich polityków czy urzędników unijnych, ale też o liderów innych państw europejskich. Prostych rozwiązań czasami nie ma. Zwłaszcza na poziomie Unii Europejskiej, gdzie mamy wielostronne umowy jak TTIP (Transatlantyckie Partnerstwo w dziedzinie Handlu i Inwestycji - przyp.red.) czy CETA (Kompleksowa Umowa Gospodarczo-Handlowa - przyp.red.). Umowa z Kanadą była procedowana w sumie siedem lat. Obywatele powinni zrozumieć, że świat jest na tyle złożony, że decyzje nie są i nie będą proste i łatwe.

A jednak duża grupa polityków przekonuje, że oni mogą inaczej. Twierdzą, że dotychczasowy system nie zdał egzaminu, a dzięki nim wszystko będzie proste i zrozumiałe dla każdego. Wielu wyborców to kupuje.

Zmienił się sposób komunikacji. Obywatele zyskali przeświadczenie, że każdy może się wypowiedzieć na każdy temat i zawsze znajdzie grono odbiorców. Wiedzę o świecie zdobywamy już nie tylko przez tradycyjne media, co jest pokłosiem rozwoju mediów społecznościowych. Młodzi ludzie są przekonani, że autorytetów nie ma, że każdą wypowiedź można zakwestionować, bo za każdym autorytetem, który młodzi wzięliby oczywiście w cudzysłów, stoi jakaś grupa interesów albo pieniądze. Mają wrażenie, że nie ma instytucji czy osób, które mogą im objaśnić świat w przekonujący sposób. W związku z tym każdy twierdzi, że sam sobie wyrobi zdanie. Młodzi szukają informacji np.

na Facebooku. A to co znajdują jest przecież zależnie od grona znajomych, listy obserwowanych, itd.. I tak tworzy się bańka informacyjna, bo słuchamy tych, którzy mają poglądy podobne do naszych. Na innych jesteśmy zamknięci. I potem jesteśmy przekonani, że wszystko wiemy. Ekspert coś mówi, ale ja na swój chłopski rozum też to pojmuję i lepiej wiem, co dla mnie dobre. Wyrabiamy sobie zdanie na podstawie niewielu informacji i znów wszystko upraszczamy. Takim osobom łatwiej coś wmówić czy obiecać.

“

W Skandynawii są możliwe rządy mniejszościowe, bo politycy z partii rządzącej są w stanie dogadywać się z opozycją parlamentarną. Jeśli przedstawia racjonalne argumenty, to druga strona może zgodzić się na ustępstwa. U nas to niemożliwe - nakręciła się spirala działania odwrotnego niż politycznych konkurentów.

To trend zauważalnie wzrostowy. Widzi pani szansę na jego odwrócenie?

Może się okazać, że wybrani politycy nie spełniają swoich obietnic - tak przecież bywa. Z drugiej strony mogą je spełniać, ale po czasie się okaże, że cena ich realizacji jest bardzo wysoka. Najpierw dużo dostaniemy, ale potem jeszcze więcej trzeba będzie oddać. Nawet gorzej wykształceni potrafią liczyć i jeśli przeliczą, że im się przestaje opłacać, to zmieniają polityczne sympatie i zagłosują inaczej. Ale czy mądre głowy będą jeszcze autorytetami? Obawiam się, że nie.

Porównując elity europejskie do chińskich, Radosław Pyffel powiedział mi, że Chińczycy mocno inwestują w wykształcenie swoich kadr. Nie ma tam zaciągu z showbiznesu, przez co u władzy są kompetentni ludzie.

Kiedyś celebrytów brano tylko do komitetów poparcia. Politycy mieli za sobą uśmiechniętych aktorów czy muzyków, którzy namawiali do oddania na nich głosu. Potem był kolejny krok: wciągnięcie tych celebrytów na listy. W innych krajach partie mają dłuższe ławki. U nas trochę tego zaplecza brakuje, więc w poszukiwaniu głosów partie sięgają po znane nazwiska, które przyciągną wyborców. Po piłkarzy, aktorów, itd.. Z różnym skutkiem. Niektórzy przepadają po jednej kadencji, a inni dobrze sprawdzają się w roli polityka i zostają w niej na dłużej. Jak były dziennikarz Tadeusz Zwiefka, który przez trzy kadencje zasiadał w Parlamencie Europejskim, a w ostatnich wyborach parlamentarnych zdobył mandat poselski.

Nie jest to droga na skróty, na której traci poziom merytoryczny debaty politycznej?

Raz jeszcze odwołam się do wagi reprezentatywności: przecież nie wszyscy w kraju mają wykształcenie wyższe, tak jak nie wszyscy są prawnikami czy ekonomistami. Dobrze jest, kiedy parlament jest pod tym względem różnorodny, bo każdy chce mieć coś do powiedzenia i każdy może wzbogacić debatę publiczną.

Na Zachodzie, w społeczeństwach z dużym odsetkiem imigrantów drugiego czy trzeciego pokolenia, partie socjaldemokratyczne, liberalne, partie zielonych, starają się uwiarygodnić zapraszaniem na listy przedstawicieli mniejszości. Wychodzą z założenia, że wyborca chce głosować nie tylko na tych, którzy mają takie same poglądy, ale też takie samo pochodzenie czy religię. Dorosłe dzieci, wnuki imigrantów mają prawa wyborcze, więc chcą pokazać, że mają ofertę również dla nich. Stąd na listach przedstawiciele mniejszości. Jeżeli chcemy głosować na kogoś, kto ma podobne poglądy do nas, a do tego ma podobne korzenie, to mamy na kogo głosować. Taka inkluzywna polityka polega na dopraszaniu przedstawicieli środowisk do tej pory słabiej reprezentowanych. Nawet francuskie Zjednoczenie Narodowe chce pokazać swoją otwartość. Marine Le Pen mówi: jesteśmy przeciw islamistom, a nie przeciwko islamowi.

To nie słyca wyboru? Nie patrzymy na poglądy i pomysły tylko na zasadzie skojarzeń, szukania znajomych twarzy? Oczywiście to nic nowego, bo już kandydaci "Solidarności" mieli na swoich plakatach wyborczych zdjęcia z Lechem Wałęsą.

Uproszczenie plakatu wyborczego jest konsekwencją po części kultury obrazkowej, a po drugie założenia, że ludzie polityką się nie interesują. Wydawcy telewizyjni szukają do swoich programów polityków skaczących sobie do gardeł, ponieważ myślą, że inaczej trudno będzie utrzymać ludzi przed ekranem telewizora. Istnieje przeświadczenie, że jak będzie zbyt merytorycznie, to widz zmieni kanał. Dyskusja dwóch profesorów czy ekspertów postrzegana jest jako nudna.

Czyli kolejny dowód na to, że nie umiemy, a nawet nie próbujemy ze sobą dyskutować. Liczy się to, kto głośniej i dobitniej przedstawi swoje zdanie w spektaklu medialnym.

W Skandynawii są możliwe rządy mniejszościowe, bo politycy z partii rządzącej są w stanie dogadywać się z opozycją parlamentarną. Jeśli przedstawia racjonalne argumenty, to druga strona może zgodzić się na ustępstwa. U nas to niemożliwe – nakręciła się spirala działania odwrotnego niż politycznych konkurentów. Co ciekawe, polscy parlamentarzyści, którzy pracowali też w Parlamencie Europejskim, są świadomi, że kultura polityczna w Polsce i na forum Unii to dwie

różne sprawy. Tam jednak jest to przekonanie, że gramy do jednej bramki. Oczywiście są różne grupy polityczne i naszych 51 deputowanych jest podzielonych pomiędzy różne frakcje, ale jednak mają poczucie, że są tam, żeby bronić polskiego interesu. A do tego nie wystarczą koledzy z jednej eurogrupy. Trzeba znaleźć popleczników naszych pomysłów również w innych obozach, a więc i rozmawiać, przekonywać.

Nie ma szansy na zapożyczenie tych dobrych wzorców?

Na gruncie krajowym nie mamy kultury kompromisu, ona nie jest wpisana w nasze DNA. Jesteśmy państwem homogenicznym pod względem etnicznym, językowym i religijnym, co oznacza, że nie wykształciliśmy poczucia, że nie da się żyć bez porozumiewania się i próby godzenia sprzecznych interesów.

Dobrymi przykładami krajów, gdzie kultura kompromisu istnieje, są Belgia czy Szwajcaria – kraje mocno sfragmentaryzowane. Mówi się tam kilkoma językami, są podziały religijne, są duże grupy ludzi etnicznie różnych. I żyją razem. I na poziomie społecznym i na poziomie klasy politycznej ludzie są w stanie się dogadać.

Narzekań na polityków zawsze towarzyszy dyskusja nad społeczeństwem obywatelskim, które będzie w stanie rozliczyć rządzących i wziąć część władzy w swoje ręce. Widać w Europie wzrost takiej tendencji?

W przywoływanej Belgii po wyborach w 2014 roku nie było rządu federalnego przez ponad pięćset dni. Półtora roku bez sformułowanego rządu! Niewyobrażalne z naszej perspektywy. Niektórzy pytali, dlaczego nie zrobiono przedterminowych wyborów. Z prostego powodu: było duże prawdopodobieństwo, że wynik będzie taki sam. Udział wyborczy jest tam obowiązkowy, więc nie dałoby się np. zmobilizować większej liczby wyborców, którzy zmieniliby wynik wyborczy lub zdemobilizować wyborców konkurencyjnych partii politycznych. A trudno oczekiwać, że w kilka czy nawet kilkanaście miesięcy ludzie diametralnie zmienią zdanie. Złaszcza, że w Belgii głosowanie w dużej mierze powiązane jest z podziałami językowymi i religijnymi. Jak więc państwo funkcjonowało przez te półtora roku? Dużą rolę odegrały władze niższych szczebli. One dobrze sobie radzą również dlatego, że obywatele biorą sprawy w swoje ręce. W czasie bez rządu centralnego organizowano wiele paneli obywatelskich, dyskusji.

Innym przejawem niekonwencjonalnego zaangażowania obywatelskiego jest Islandia. Swego czasu każdy obywatel mógł w internecie zabrać głos w sprawie ewentualnych zmian w konstytucji. To także bardzo proobywatelskie, bardziej nawet niż referendum. Z jednej strony daje ono bowiem okazję do zabrania głosu każdemu, ale z drugiej pytania referendalne są z góry ustalone i można na nie odpowiedzieć albo przecząco albo twierdząco.

Wpływ na treść decyzji jest przy takiej alternatywie jest mocno ograniczony.

Inna sprawa, że niektórzy w ogóle nie chcą brać na siebie podejmowania jakichkolwiek decyzji.

Możemy dużo mówić o przykładach brania przez obywateli władzy czy części władzy w ręce, ale o ile niektórzy będą narzekać, że brakuje do tego narzędzi, to inni powiedzą, że rządzeniem powinni się zająć politycy, bo za to im płacimy. Część ludzi chce jedynie zagłosować raz na cztery lata i mieć spokój. Ewentualnie przyjąć pozycję oceniającego i krytycznego obserwatora. Dlaczego? Szkoda im czasu, nie chcą się angażować albo uważają, że nie mają wystarczającej wiedzy.

Pytanie powinno zatem brzmieć: jak przekonać tych ludzi, żeby jednak się zaangażowali? Przecież decyzje polityczne, na różnych szczeblach, mają bezpośredni wpływ na ich życie.

Mamy różne formy kontestacji decyzji polityków. Na Południu ludzie skrzykują się i potrafią wyjść na ulicę w liczbie kilkuset tysięcy. U nas mieliśmy masowe protesty przeciwko ACTA.

Trend jest taki, że jesteśmy coraz bardziej wykształceni – przynajmniej formalnie, mamy zaspokojone swoje podstawowe potrzeby, stajemy się coraz zamożniejsi i mamy coraz więcej wolnego czasu. Z jednej strony możemy to wszystko wykorzystać na konsumpcję, ale jest rosnąca grupa ludzi, która chce mieć wpływ na to, co się dzieje. Nawet jeśli nie w kraju, bo zaangażowanie się na poziomie krajowym nie jest łatwe, to przynajmniej w mieście czy na osiedlu. Szukamy i będziemy dążyć do poczucia sprawstwa. Pod tym względem Europejczycy są światową awangardą. Gdzie indziej, może poza USA, ludzie często ograniczają swój udział w życiu publicznym do pójścia na wybory.

A jakie dostrzega pani zagrożenia dla samych wyborów? Dezinformacja? Próby kwestionowania wyników, jak miało miejsce chociażby podczas ostatnich wyborów na burmistrza Stambułu?

Zacznę od tego, czego już się w Europie nie obawiamy, czyli fałszowania wyborów. Nawet w krajach o niskim zaufaniu społecznym do instytucji publicznych i do polityków jak choćby w Polsce, obaw o fałszowanie wyników wyborów w zasadzie nie ma. Oczywiście najbardziej zagorzali przeciwnicy władzy nawołują do patrzenia jej na ręce. I patrzymy, dzięki czemu mamy pewność, że wszystko jest okej.

Z kolei to, czego wszyscy najbardziej się obawiają, a przynajmniej o tym się mówi w Europie, to próby wpływania na wynik wyborów przez kogoś z zewnątrz. Obawy zaczęły się rozpowszechniać po 2016 i wyborach prezydenckich w USA, kiedy Rosję oskarżano o wywieranie wpływu na wybór Donalda Trumpa. Dlatego podczas tegorocznych wyborów do Parlamentu

Europejskiego Unia bardzo mocno starała się chronić przed próbami ingerencji z zewnątrz. Obawiano się, że będą próby niszczenia Unii od środka, na przykład poprzez wspieranie ruchów eurosceptycznych. Późniejsze ekspertyzy instytucji unijnych wskazały, że takie próby rzeczywiście były, ale nie na tak dużą skalę jak choćby w USA. Pewnie stawka wyborów była mimo wszystko mniejsza.

AURELIUSZ GÓRSKI



Autonomiczne samochody, wojny dronów czy boty zatrudnione jako konsultanci telefoniczni - to już nie sceny z filmów science-fiction, a rzeczywistość.

Duże firmy i pomysłowi mieszkańcy naszej planety, prześcigają się w udoskonalaniu istniejących technologii i wymyślaniu nowych, mających rewolucjonizować świat. Ale od genialnego pomysłu do prawdziwego przełomu droga jeszcze daleka. W jej skracaniu mają pomagać kampusy innowacyjne. Jeden z nich w 2020 roku zostanie uruchomiony w Warszawie.

TECHNOLOGIA I INNOWACJE

Czy Polska to dobre miejsce na rozwój zaawansowanych technologii? Jak stworzyć warunki do rozwoju innowacji? Czy obawy o to, że roboty odbiorą nam pracę są uzasadnione? O tym w rozmowie z Aureliuszem Górskim z Cambridge Innovation Center.



Rozmawia
Michał Banasiak

Michał Banasiak:

Zanim porozmawiamy o kampusach innowacyjnych, chciałbym zapytać o samą "innowację". Wdarła się szturmem do naszego języka i z miejsca stała się słowem, mam wrażenie, nadużywany. Co zatem zasługuje na miano "innowacji"?

Aureliusz Górski:

"Innowacja" jest często mylona z "wynalazkiem". Wynalazek to urządzenie, metoda lub proces, umożliwiające wykonanie czynności w nowy, wydajniejszy sposób. Z innowacją natomiast mamy do czynienia dopiero wtedy, gdy nowe rozwiązanie zostanie wdrożone, a odbiorcy będą z niego korzystać - dlatego nie każdy wynalazek jest innowacją.



Czynnikiem kluczowym dla rozwoju innowacyjności jest dostęp do ekosystemu, który łączy wszystkie niezbędne elementy i udostępnia je w modelu "na żądanie".

Można zatem powiedzieć, że w odpowiednich warunkach wynalazek ma szansę stać się innowacją. Jak to warunki?

By nowe rozwiązanie zostało z powodzeniem wprowadzone, potrzebne jest budowanie elastycznych, interdyscyplinarnych zespołów i szybki dostęp do niezbędnych zasobów. Minęły już czasy, kiedy sukces można było osiągnąć w pojedynkę - dziś czynnikiem kluczowym dla rozwoju innowacyjności jest dostęp do ekosystemu, który łączy wszystkie niezbędne elementy i udostępnia je w modelu "na żądanie".

I "otwarty kampus innowacyjny" jest takim właśnie ekosystemem.

Student, który uczy się na kampusie akademickim powinien mieć dostęp do wszystkiego, czego potrzebuje by się rozwijać. Analogicznie, innowatorzy potrzebują platform, dzięki którym będą mogli doskonalić swoje pomysły. Magicznymi słowami są tu "proximity" (ang. bliskość) oraz "connectivity" (ang. łączność). Gdy sprawimy, że startupy i scaleupy, przedsiębiorcy, naukowcy, wynalazcy, ale też zespoły od innowacji dużych korporacji i przedstawiciele sektora publicznego będą fizycznie blisko siebie, przełoży się to na ilość wspólnie realizowanych inicjatyw. Z założenia współpraca owocuje lepszymi rezultatami i jest na potwierdzenie tej tezy wiele badań.

Jak wobec tego wygląda taki kampus? Z czego się składa?

Tego typu obiekty tworzy się na dziesiątki lat; powinny one rozwijać się zgodnie z trendami rynkowymi. Cambridge Innovation Center od 1999 roku też mocno się reorganizuje. Początkowo narodził się pomysł

krótkoterminowego wynajmu pomieszczeń biurowych. Ktoś, kto dopiero zaczyna i nie wie czy i na ile uda mu się rozwinąć skrzydła, nie chce kupować biura czy nawet wynajmować go na jakiś dłuższy okres. Grupując i obserwując przedsiębiorców zrozumieliśmy, że samo biuro to za mało. Potrzeba przestrzeni wyspecjalizowanej, jak np. laboratorium. Firma, która przygotowuje produkt do wejścia na rynek musi robić badania i analizy, ale de facto potrzebuje laboratorium na kilka godzin w tygodniu. Wydawanie kilku czy kilkunastu milionów na własne laboratorium byłoby więc nieopłacalne. Gdyby takie specjalistyczne pomieszczenia oferowała jakaś firma na drugim końcu miasta - też byłoby to sporą niedogodnością. U nas cała infrastruktura niezbędna do pracy i rozwoju znajduje się w jednym miejscu. Wszystko jest połączone. Co ważniejsze, można spotkać tam ludzi, którzy wiedzą coś, czego my nie wiemy - w ten sposób następuje rozwój, tworzą się społeczności i kolektywny know how. To jest najważniejszy efekt działania kampusu - budowanie wiedzy i społeczności. Można kupić budynek, wyposażyć go w najlepszy sprzęt, ale bez utalentowanych ludzi nie powstanie tam nic interesującego.

Jak popularne są dzisiaj takie kampusy?

Kampusy docelowo przekształcają się w dzielnice innowacyjne, jak np. słynna Dolina Krzemowa czy Kendall Square w Cambridge, gdzie powstał pierwszy kampus. Od 2012 roku przenosimy ten model na inne miasta na całym świecie. Sprawdził się już na 3 kontynentach i chcemy, by do 2030 roku powstało 50 kampusów połączonych międzynarodowymi programami. Za każdym razem, gdy pracujemy nad nowym projektem, robimy bardzo szczegółową analizę ekosystemu i tworzymy nowe projekty z lokalnymi liderami, by odpowiadały aktualnym potrzebom. To podejście powoduje, że rozwijamy się wolniej i często zaprojektowanie wszystkiego zajmuje kilka lat. Nad warszawskim projektem pracujemy od 2015 roku. Złoży się na niego kilkadziesiąt elementów, tworzących zupełnie nowe inicjatywy, m.in. hub kosmiczny, hub smart city, hub internetu rzeczy, hub fintechowy czy hub softlandingowy, stanowiący permanentny program wsparcia dla firm zagranicznych. Do tego centrum prototypowania 2D/3D, centrum dla inwestorów, centrum innowacji społecznych i interdyscyplinarny klub dla osób zainteresowanych trendami.

To będzie obszar zamknięty?

Absolutnie nie. Wszystkie projekty będą otwarte i dedykowane dla różnych grup. Do centrum innowacji społecznej District Hall, będzie można przyjść o dowolnej porze dnia i nocy i skorzystać z darmowej strefy do pracy albo wziąć udział w jednym z tysięcy wydarzeń rocznie.. Zakładamy, że już w pierwszym roku centrum odwiedzi przynajmniej 120 000 osób.

Powołaliśmy również fundację Venture Cafe Warsaw, której jednym z celów będzie włączanie do świata innowacji osób, które z jakichś powodów mogą czuć się wykluczone lub uważać, że innowacje nie są dla nich.

Skorzystać teoretycznie może każdy, ale oczywistym jest, że są grupy, do których ta oferta jest skierowana w pierwszej kolejności.

Kampusy powstają z myślą o przedsiębiorcach tworzących przełomowe innowacje. By stworzyć do tego odpowiedni ekosystem potrzebnych jest szereg osób, które to wspierają: inwestorzy, naukowcy, dostawcy usług, korporacje i inne organizacje. W Warszawie takich podmiotów jest ok. 650. Do tego ok. 100 scaleupów, które mają produkty gotowe do rozwoju na światowych rynkach. Kampus budujemy po to, by te jednostki nie musiały szukać zasobów do rozwoju poza granicami kraju. Chcemy, by mogły działać globalnie mając silne korzenie w Polsce. Wierzmy również, że taka wartość może być atrakcyjna dla innowatorów z całego regionu Europy Środkowo-Wschodniej. W Polsce mogą znaleźć talenty, pomysły, pieniądze i narzędzia do wzrostu. Chcemy też wspierać rozwój przyszłych liderów innowacji. Patrząc na liczbę studentów uczących się w Warszawie – ok. 230 tysięcy – mamy wystarczający potencjał, by za kilka lat powstało tu wiele tzw. jednorożców, czyli startupów, które osiągnęły rynkową wycenę na poziomie przynajmniej miliarda dolarów.



Polska ma niesamowite talenty programistyczne. Jesteśmy w ścisłej czołówce rankingów, obok Rosji i Chin. Dlatego można u nas stworzyć praktycznie każdy biznes, bo teraz wszystko opiera się na software.

Wyjaśniliśmy czym są "jednorożce", wiemy co to "startup", pozostaje kwestia "scaleupów".

Scaleup to firma działająca w obszarze rynków zaawansowanych technologii, która ma gotowy model biznesowy do funkcjonowania globalnego. Szacujemy, że w Warszawie jest aktualnie ok. 100 scaleupów. Nie prowadzimy szerszego monitoringu w całej Polsce. Oczywiście firm z potencjałem jest znacznie więcej, ale część z nich popełnia błąd i rozwija się tylko lokalnie. Przedsiębiorstwa za naszą południową granicą wiedzą, że o sukcesie zadecyduje natychmiastowe wyjście na globalne rynki, bo ich wewnętrzny rynek jest po prostu za mały. Polska jest dość dużym rynkiem i niestety stanowi to pułapkę. Dlatego polski ekosystem innowacji nie jest jeszcze zauważalny, co stanowi duży problem w ściąganiu do Polski talentów z innych krajów.

Za to rodzime talenty przyciągają do Polski zagraniczne firmy.

Wiele firm lokuje u nas swoje centra kompetencyjne, tzw. Shared Services Centers. Poza stosunkowo niskimi kosztami inwestycji, przyciągająca jest lojalność i efektywność pracowników. Jedną z pierwszych decyzji jakie podjęło CIC, poznając potencjał drzemący w Polsce, było zbudowanie globalnego zespołu programistycznego właśnie w Warszawie. Każda linijka kodu oprogramowania, który jest używany w naszych kampusach na całym świecie, powstaje w Warszawie. Widzimy duże zainteresowanie Polską ze strony zagranicznych firm, jednak jest jeszcze bardzo dużo barier, które utrudniają obcokrajowcom szybkie uruchomienie biznesu w Polsce: język, różnice kulturowe (jesteśmy trochę bardziej krytyczno-analityczni), skomplikowane prawo, biurokracja, niskie zaufanie społeczne etc.. Nie są to jednak bariery nie do przejścia, gdy ma się odpowiedniego partnera. Z myślą o takich firmach otwieramy centrum softlandingowe oraz departament w fundacji, który będzie zajmował się wspieraniem tworzenia w Polsce rynku związanego z turystyką innowacyjną.

Jakie branże najbardziej korzystają z rozwoju rynku innowacji?

Polska ma niesamowite talenty programistyczne. Jesteśmy w ścisłej czołówce rankingów, obok Rosji i Chin. Dlatego można u nas stworzyć praktycznie każdy biznes, bo teraz wszystko opiera się na software. A jeśli jakiś biznes jeszcze się przed tym broni, wkrótce będzie musiał przestać, jeśli chce być konkurencyjny. Dobrze, jeśli ten software jest budowany wewnętrznie, bo na pewnym etapie nie można rdzenia biznesu delegować na zewnątrz i liczyć, że ktoś zrobi to za nas. W Polsce mamy też wiele świetnych firm działających w obszarach takich jak healthtech, cleantech, foodtech, circular economy, industry 4.0. Jest kilka przedsiębiorstw, które robią bardzo innowacyjne rzeczy w obszarze przemysłu kosmicznego, ale to akurat kategoria, w której niezbędne jest stworzenie silnych programów rządowych i wiele krajów jest "lata świetlne" przed nami.

Można traktować listę tych branż jako wytyczną dla obecnych lub przyszłych studentów?

Do niedawna duże firmy myślały o idealnych pracownikach jako o *T-shaped people*. Literka "T" obrazuje osobę, która jest specjalistą w jakiejś dziedzinie, ale jednocześnie ma szerokie horyzonty i na nic się nie zamyka. Teraz mówi się już o *π-shaped people*. Nadal w cenie jest otwarty umysł i szerokie zainteresowania, ale poza specjalizacją w jakiejś dziedzinie konieczne jest też rozumienie technologii. Bez tego za jakiś czas człowiek nie będzie w stanie komunikować się z otaczającymi nas interfejsami. Wejdziemy do pomieszczenia, a ono będzie w pełni

skomputeryzowane. Będzie wiedziało jaką temperaturę lubimy i czego potrzebujemy. Bez biegłości w poruszaniu się w świecie tych skomplikowanych algorytmów, pozostaniemy biernymi użytkownikami świata. Wydaje się to tylko rozważaniem o przyszłości, ale przecież już teraz, jeśli ktoś nie potrafi wykorzystać możliwości dawanych przez nowoczesne technologie, np. nie używa otwartego kalendarza online czy aplikacji do zarządzania zadaniami, staje się mniej funkcjonalnym współpracownikiem. Dlatego ważne jest, by dążyć do bycia ekspertem w jakiejś kategorii, interesować się innymi dziedzinami życia i rozumieć technologię.



Bez rozwoju technologicznego ciężko będzie utrzymać obecne tempo wzrostu gospodarczego. Priorytetem sektora publicznego powinno być odejście od pracochłonnej i niskomarżowej gospodarki, na rzecz gospodarki innowacyjnej.

Słysząc wiele obaw, że przy tym zawrotnym tempie rozwoju, staniemy się niewolnikami technologii.

Dzisiaj mój e-asystent w aplikacji poczty elektronicznej, podpowiada mi co odpisać na maila i w połowie przypadków robi to trafnie. Nie uważam, że to mnie ogranicza – wręcz odwrotnie. Natomiast rzeczywiście potrzeba bardzo proaktywnego działania w zakresie sprawdzania czy technologie pomagają nam żyć efektywniej. Tu pojawia się temat własności danych i wiele innych ważnych pytań, na które jako cywilizacja musimy sobie odpowiedzieć. Wzorem może być Stanisław Lem, który w książce „Summa technologiae” spogląda na etyczne i filozoficzne konsekwencje przyszłych technologii. Może jeszcze nie nasze dzieci, ale dzieci naszych dzieci mogą stanąć przed dylematem czy wymienić swoje oko na takie z „rozszerzoną rzeczywistością”, które będzie dawało więcej możliwości. Teraz to wydaje się szokującym science-fiction, ale przecież mamy ludzi z rozrusznikami serca. Dla osób żyjących 100 lat temu z pewnością mogłoby to być przekroczenie pewnej granicy, a jednak traktujemy to dziś jako coś normalnego. Nie ma co demonizować technologii.

Ale obaw i pytań nie da się uniknąć.

Bo jeśli dostęp do technologii będzie powiązany z dużymi pieniędzmi, to uzyska go tylko określona grupa ludzi. Piszę o tym w swoich książkach Yuval Noah Harari. Część ludzi może stać się nadludźmi i powstaną kasty społeczne. Innowacje i technologie są okazją do wielu dyskusji, więc ich rozwój powinien wymusić też powstanie wielu zawodów w obszarze filozofii.

Pesymiści wieszczą, że roboty wsparte sztuczną inteligencją zabiorą nam pracę.

Spośród znanych mi osób pracujących „na kasie”, żadna nie jest z tego zadowolona. Jeżeli ich obowiązki przejmą roboty, rynek automatycznie stworzy dla tych ludzi inne miejsca pracy, pewnie bardziej satysfakcjonujące. Są kopalnie, gdzie pracują już tylko maszyny. Górnicy nie muszą niszczyć zdrowia, narażać życia, stresować rodziny. Ja jestem wdzięczny, że codziennie zmywarka zmywa moje naczynia, robot sprząający odkurza mieszkanie, a ja mogę więcej czasu spędzić z dzieckiem i żoną. Technologia aplikacji map elektronicznych została udoskonalona do takiego stopnia, że wystarczy jechać zgodnie z jej wskazaniem, by nie tylko dojechać do celu, ale i ominąć korki. Zawód taksówkarza, którego największym atutem był kiedyś dostęp do wiedzy, jak najefektywniej dotrzeć do danego miejsca, za chwilę nie będzie potrzebny. Ludzi zastąpią samochody autonomiczne, a taksówkarze będą mogli robić coś bardziej rozwijającego.

Przełomowe innowacje niosą duże zmiany; czasami powodują wstrząs w gospodarce czy naszym życiu. Może za jakiś czas będziemy zarabiać robiąc tylko to, co lubimy albo co nas satysfakcjonuje. Niektórzy już to robią – wystarczy spojrzeć na portal Patronite. Tomasz Sekielski przekroczył magiczną liczbę miliona złotych łącznego wsparcia na swój projekt ekranizujący czyny pedofilskie w kościele. Przed nim milion złotych zebrał na tym samym portalu dominikanin o. Adam Szustak, założyciel popularnego kanału na YouTube „Langusta na palmie”. On prowadzi rekolekcje przez internet.

Ostatnio najbardziej fascynuje mnie jednak model biznesowy firmy 4Ocean.com, która zatrudnia lokalnych rybaków, by zamiast ryb wyławiali śmieci z oceanu. Ich praca jest opłacana m.in. ze sprzedaży bransoletek z przetopionego plastiku. Moim zdaniem rynek, o ile nie jest sterowany centralnie, zawsze znajdzie rozwiązanie problemu. Dlatego nie jestem zwolennikiem korzystania w innowacjach z pieniędzy publicznych.

Skoro już jesteśmy przy pieniądzach publicznych to przejdę do tematu administracji państwowej i tego w jaki sposób może pomóc, a przynajmniej nie przeszkadzać podmiotom zajmującym się innowacjami.

Bez rozwoju technologicznego ciężko będzie utrzymać obecne tempo wzrostu gospodarczego. Priorytetem sektora publicznego powinno być odejście od pracochłonnej i niskomarżowej gospodarki, na rzecz gospodarki innowacyjnej. Dużo się o tym mówi, ale niestety bardzo mało robi. Moim zdaniem należy się skupić na osiągnięciu mądrego i przejrzystego porządku instytucjonalnego oraz sprawnego systemu ekonomicznego, z prostym systemem podatkowym na czele. Później automatyzować jak najwięcej procesów i tworzyć realne narzędzia pozwalające

szerokiemu gronu obywateli włączyć się w realizację strategii ustawionej na 20-30 lat. To fundament, gdyż nie dysponujemy silną walutą i siecią globalnych korporacji, które pomogłyby nam budować stabilny wzrost i nadwyżki budżetowe. Jesteśmy bardzo uzależnieni od światowej gospodarki. Rosnący udział państwa w gospodarce, w przypadku globalnego kryzysu ekonomicznego, będzie olbrzymim obciążeniem. Dodatkowo, gdy politycy zamiast w rozwój gospodarki, inwestują w elektorat, tracą zaufanie tych, którzy rozumieją, na czym polega cała ta gra. W efekcie ogranicza to możliwości współpracy i obniża zaufanie społeczne wobec sektora publicznego. A bez skutecznej współpracy sektora publicznego z prywatnym, będziemy kręcić się w kółko.

Jak na ten moment Polska wypada pod względem systemowego przyciągania innowacyjnego biznesu?

Myślę, że udowodniliśmy już, że Polska to atrakcyjny kierunek dla inwestycji, a potencjał przyszłego rozwoju Polski jest postrzegany pozytywnie. Szczególnie, jeśli ktoś miał już okazję tu przyjechać i poznać partnerów biznesowych. Uważam jednak, że mamy bardzo duży problem z komunikowaniem potencjału Polski. W małym stopniu rozumiemy inne kultury i wydarzenia w innych krajach. Kilka razy w roku odpowiadam na maile z różnych zakątków świata z pytaniami, co się u nas właściwie dzieje, bo wysyłamy - nawet nieświadomie - niepokojące sygnały, a później nie potrafimy tego dobrze wytłumaczyć angielskojęzycznej społeczności. Myślę, że ważnym etapem w rozwoju będzie przejście z gospodarki utożsamianej z tanią i efektywną siłą roboczą, na gospodarkę utożsamianą z innowacjami. W niektórych sektorach takich jak FinTech już się to nam udało. Pozostaję optymistą, gdyż mamy olbrzymi kapitał społeczny w postaci ludzi, którym chce się udowodniać, że pomimo trudnej historii jest to możliwe.

ADAM ZAMOYSKI



Unia.
System napoleoński
bez Napoleona.

UNIA EUROPEJSKA

Rozmowa z historykiem Adamem Zamoyskim.



Rozmawia
Marcin Chruściel

Marcin Chruściel:

Jakie wnioski wyciąga znawca epoki i biograf Napoleona Bonaparte, gdy patrzy na modus operandi współczesnej Unii Europejskiej? Czy projekt UE dużo zawdzięcza Napoleonowi?

Adam Zamoyski:

Przede wszystkim widać inspirację Kodeksem Napoleona, który był próbą całościowej i odgórnej kodyfikacji prawa. Zapomina się jednak, że Napoleon chciał w nim połączyć wszystko, co było najlepsze i solidne w prawach ancien régime'u, a zatem normach sięgających setek lat, z pozytywnym dorobkiem prawnym Rewolucji. Napoleon był wielkim pragmatykiem. Rozumiał, że rzeczy, które są dobre i stare, które są głęboko zakorzenione, mają swoją wartość i trzeba ją wykorzystać. Często używał słowa „fusion”, ponieważ chciał zjednoczyć społeczeństwo francuskie podzielone przez rewolucję oraz przyciągnąć do siebie i służby państwu najlepsze jednostki starej arystokracji i mieszczaństwa.

“

U podstaw problemów Unii ... jest brak komunikacji, czy też wycucia i empatii między kastą rządzącą ... a normalnymi ludźmi i ich troskami. Elita rządząca w Unii zupełnie nie jest na to uczulona i przygotowana do jakiegoś dialogu, tylko jak niecierpliwy nauczyciel ciągle tłumaczy, że „tak musi być” i należy po prostu odrobić lekcję.

Dziesiątki tysięcy osób, które wyemigrowały podczas rewolucji, wróciły do Francji. Napoleon wcielił je następnie do administracji bądź wojska. W ten sposób chciał osiągnąć to „fusion” społeczne. Chciał stworzyć Nowego Francuza, który byłby technokratą i tutaj mamy kolejną analogię. Napoleon wykreował bowiem kastę rządzącą, pewną hierarchię, która istnieje właściwie w tej samej formie po dziś dzień we Francji. Ten model ewidentnie posłużył jako wzór – można nawet powiedzieć, że podświadomie – przy tworzeniu instytucji unijnych.

Czyli dostrzega pan pewną kontynuację. To dobrze czy źle?

Jest tutaj pewien problem. Model napoleoński był bardzo sprawny, ale również dlatego, że Napoleon jako pragmatyk wiedział, kiedy należy coś zmienić, jeśli źle funkcjonuje. Bardzo dobrze wyczuwał też, czego chcą prosić ludzie. Na przykład – sam był niewierzący, ale wiedział, że większość Francuzów jest przywiązana do starej wiary, więc przywrócił starą wiarę. Myślę, że u podstaw problemów Unii – nie tylko w relacjach z Wielką Brytanią, ale również z mieszkańcami w całej Europie – jest brak komunikacji, czy też wycucia i empatii między kastą rządzącą – nawet tymi wybranymi

do Parlamentu Europejskiego – a normalnymi ludźmi i ich troskami. Elita rządząca w Unii zupełnie nie jest na to uczulona i przygotowana do jakiegoś dialogu, tylko jak niecierpliwy nauczyciel ciągle tłumaczy, że „tak musi być” i należy po prostu odrobić lekcję.

No dobrze, ale w ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego mieliśmy największą frekwencję od 20 lat. Nie widzi pan w tej instytucji przedstawicielskiej szansy na zmniejszenie luki między elitami a obywatelami UE?

W istniejącej koniunkturze – nie. Dlatego że europosłowie nie są tak naprawdę wybierani przez wyborców; w okręgach, w których są widoczni i w których mieszkańcy mogą mieć do nich jakieś zaufanie czy kontakt z nimi. W większości krajów są po prostu wybierani z listy, która jest ustalana przez liderów partyjnych w stolicy. Gdzie indziej z okręgów wyborczych, ale tak wielkich, że nikt nie wie, kim są. A ponieważ jest to świetna posada, o wiele za dobrze wynagradzana, pchają się do tego politycy, który się przeżyli albo nie sprawdzili we własnym kraju, którym trzeba dać jakąś emeryturę. Albo wysyłani są tacy, którzy są niewygodni. Tacy kandydaci prawie w każdym wypadku nie są przedstawicielami swoich wyborców. W gruncie rzeczy nie mają z nimi żadnego kontaktu i zwykle wykonują tylko zlecenia swoich partii płynące z centrali. Nie jest to żadna demokracja, ale jedynie pseudo-demokratyczny liść figowy, który zresztą tylko przeszkadza.

Co więc zatem sugerowałby pan lepszego? Mając wiedzę historyczną, jak funkcjonowały systemy polityczne w przeszłości. Sugerowałby pan model federacyjny z ponadnarodowym rządem? Czy może konfederację, w której decyzje uzgadniane są na poziomie międzyrządowym bez organów ponadnarodowych?

Jeśli chodzi o federację, myślę, że jest to nie do zrobienia. To można by osiągnąć jedynie wówczas, gdyby się rozebrało istniejące państwa europejskie na ich wcześniejsze części. Gdyby na przykład Hiszpanię rozebrano na wcześniejsze cztery królestwa. Francję na Langwedocję, Bretanię i inne prowincje, a Niemcy na Saksonię, Badenię i tak dalej. Wtedy można by tworzyć federację. Jeśli rządy są jednak sprawowane głównie na poziomie narodowym, nasuwa się koncepcja suwerenności. Nie należy też zapominać, że niemalże każde państwo europejskie tworzyło się i swoją tożsamość w przeciwieństwie do innych – zwykle sąsiednich i wrogich – państw. Alternatywą pozostaje więc pozbycie się Parlamentu Europejskiego, który w gruncie rzeczy nie zdaje egzaminu jako instytucja demokratyczna oraz takie zreformowanie Komisji Europejskiej, aby w sposób otwarty były w niej reprezentowane rządy państw członkowskich. Nie wykluczam natomiast, że wtedy należałoby

powołać jakąś izbę wyższą – senat złożony z autorytetów z poszczególnych krajów, który stanowiłby pewnego rodzaju hamulec i ciało kontrolne.

W rezultacie ostatnich kryzysów w Unii Europejskiej, w szczególności finansowego i migracyjnego, zaczęto mówić o wzmocnieniu pozycji największych państw członkowskich, które przejęły na siebie trud ich przewyciężenia. Pojawiły się nawet takie analogie, że w UE odtwarza się system podobny do XIX-wiecznego koncertu mocarstw. Czy dla historyka, który studiował i pisał o Kongresie Wiedeńskim takie porównania są uprawnione?

Na pewno nie w pełnym zakresie. Jeśli mówimy natomiast o kryzysie migracyjnym, uwidocznił on pewne syndromy XIX-wiecznego systemu w zachowaniu państw UE. Okazało się bowiem, że działania poszczególnych rządów – jak chociażby Niemiec – mogą być nie tylko nieodpowiedzialne, ale w gruncie rzeczy bezprawne. Taki charakter miała decyzja Angeli Merkel o bezwarunkowym otwarciu granic dla uchodźców bez konsultacji z resztą Europy. Bo jeżeli mamy w Unii swobodę przemieszczania się i otwarte granice wewnętrzne, musi nas obowiązywać wspólna polityka w zakresie tego, kogo się do Unii wpuszcza. Widzimy natomiast na przykładzie Malty, jak łatwo niektóre państwa sprzedają obywatelstwo UE różnym podejrzanym osobom, otwierając im drogę do pozostałych krajów. Pojawia się zatem prawny, a przede wszystkim konstytucyjny bałagan. Normalnie to państwo decyduje, komu przyznaje obywatelstwo, a zatem pewne przywileje i obowiązki. Jeżeli natomiast Unia, a w szczególności strefa Schengen, ma być rzeczywiście obszarem, po którym wszyscy mogą swobodnie cyrkulować i pracować, gdzie chcą, wtedy kwestie obywatelstwa powinny być uzgadniane i sankcjonowane ogólnie. A nie przez każde lepsze państwo, które zdecyduje sobie, tak jak Malta czy Cypr, że chce zarobić.

Czyli dostrzega pan tutaj istotną rolę dla Komisji Europejskiej?

Jej rola w kontrolowaniu takich procedurów z pewnością powinna zostać zwiększona. Problemem Unii jest bowiem to, że w świadomości przeciętnego obywatela zanadto ingeruje w jego sprawy życiowe, praktycznie na każdym kroku, a kiedy pojawia się potrzeba sprawnego działania w obronie wspólnie przyjętych zasad, jest za słaba, żeby temu sprostać. Żaden rząd nie wytrzyma długo takiej sytuacji.

Jest to dość wygodne myślenie, w którym Unia stawiana jest w roli kozła ofiarnego. Pozytywne efekty jej działania – dobrobyt, który przynosi jednolity rynek czy swoboda podróżowania i pracy są już traktowane jako rzeczy dane i bezdyskusyjne. Natomiast gdy pojawia się problem, rządy krajowe winią przysłówiowe „elity brukselskie”.

Zgoda, ale zapamiętajmy, że ten dobrobyt to nie jakiś łaskawy dar Brukseli, lecz skutek kilkudziesięcioletniej pracy milionów ludzi z całego kontynentu. A jeżeli poszczególne kraje z jednej strony krytykują władze Unii, a z drugiej strony nie respektują unijnych praw, to pojawia się pytanie: „Co to jest za unia?”. To na pewno nie jest dobry model.



Alternatywą pozostaje więc pozbycie się Parlamentu Europejskiego, który w gruncie rzeczy nie zdaje egzaminu jako instytucja demokratyczna oraz takie zreformowanie Komisji Europejskiej, aby w sposób otwarty były w niej reprezentowane rządy państw członkowskich.

Nie sądzi pan jednak, że krytyka UE stała się już narzędziem politycznym, po które chętnie sięgają rządy krajowe, aby rozmyć polityczną odpowiedzialność lub osiągnąć wewnętrzne cele partyjne? Dla wielu obserwatorów skrajnym tego przejawem było referendum brexitowe. Wieloletnie krytykowanie Unii przez brytyjskie rządy i media – często bezpodstawne i jednostronne – musiało również wpłynąć na jego wynik.

Nie zrzucałbym tego na brytyjskie władze czy media. Moim zdaniem jest to głębsza sprawa. Wielka Brytania jest jednym z nielicznych krajów w Europie, obok Polski i ewentualnie Grecji i Finlandii, które walczyły zacięcie o własną suwerenność w ostatniej wojnie światowej. To bardzo dużo kosztowało ten kraj. Przez dziesięciolecia po wojnie trzeba było odrabiać wszystkie straty, z czym wiązały się ogromne koszty ekonomiczne. Z tych względów Brytyjczycy bardzo mocno cenią sobie swoją suwerenność, podobnie zresztą jak my Polacy. Kolejna rzecz w tym, że Zjednoczone Królestwo jest tworem politycznym, który tworzył się dość konsekwentnie na przestrzeni wieków. Pomimo że były pewne rewolucje i szczególnie jedna wojna domowa, nie przerwały one jednak procesu tworzenia państwowości, tylko go modyfikowały. Ten cały model polityczny i demokracja – taka, jaka ona jest w tym kraju – były tworzone oddolnie przez przeszło tysiąc lat. Ta demokracja funkcjonuje, chociaż obecnie wszędzie mówi się o jej deficycie i rzeczywiście są tego pewne negatywne objawy. Natomiast faktem jest, że tutaj ludzie głosują. Wiedzą, kim jest ich członek parlamentu. Wiedzą, gdzie mogą pójść, aby go znaleźć i ponarzekać.

Nie da się ukryć, że jest to ten pozytywny aspekt jednomandatowych okręgów wyborczych w Wielkiej Brytanii.

W tym wypadku ludzie mają jednak ogólne zaufanie do systemu i – co jest niezwykle ważne – zwykli

ludzie czują, że mogą coś przez swój głos osiągnąć. Ta koncepcja, że wszystko jest z dołu do góry, jest bardzo głęboko zakorzeniona i stanowi podstawę całej kultury w tym kraju. Natomiast większość państw europejskich, nie mówiąc już o samej UE, jest zbudowanych na modelu napoleońskim, który jest modelem odgórnym i autorytatywnym. Pod wieloma względami jest on bardziej praktyczny i intelektualnie łatwiejszy do obronienia, bo na przykład brytyjska Izba Lordów z systemem mianowania to anachroniczna i mało racjonalna struktura. Natomiast czasami te nieracjonalne rzeczy, jak na przykład monarchia, lepiej zdają egzamin niż odgórnie wymyślone systemy. Bo ludzie są ludźmi – nie jesteśmy maszynami. Od chwili, kiedy w latach 80-tych Unia zaczęła się przeistaczać ze wspólnego rynku w coraz ściślejszą unię polityczną, stawało się tutaj odczuwalne, że zderzają się dwie zupełnie inne filozofie polityczne i kultury życia. Z różnym podejściem do sposobu załatwiania spraw finansowych i niefinansowych, z całkowicie innym systemem prawnym, który w Wielkiej Brytanii daleko odbiega od systemów europejskich, a szczególnie od francuskiego – dominującego w UE. Także było odczuwalne, przynajmniej od połowy lat 80-tych, że to się nie uda.

Sugeruje pan, że brexit był już od dawna do przewidzenia? Nie zapominajmy przy tym, że jeszcze do niego nie doszło.

Moim zdaniem, jakaś forma brexitu była do przewidzenia. Gdyby unijny establishment polityczny był bardziej elastyczny i miał trochę więcej wyobraźni i zrozumienia, można było tego uniknąć. Ale z czasem tak dalece pofrunął na polocie Unii, grając Beethovena na wszystkie strony, że nie przyjmował do wiadomości innych możliwości. Takie sytuacje, jak zmuszanie Irlandczyków do ponownego głosowania nad przyjęciem traktatów unijnych, bo za pierwszym razem źle zagłosowali, głęboko oburzały społeczeństwo brytyjskie. Przejawem braku odpowiedzialności unijnych elit było również wpuszczenie do strefy euro Grecji, pomimo że ten kraj nigdy nie spełnił kryteriów z Maastricht. Ale – jak przekonywał wówczas jeden z wysokich przedstawicieli Unii – nie można było nie dopuścić do euro kraju Platona. Już wtedy pojawiło się w Wielkiej Brytanii przekonanie, że trzeba z takiej unii wyjść. Późniejszy kryzys w strefie euro, kiedy Grecja została wręcz skatowana za to, że niemieckie i francuskie banki zarabiały na udzielaniu jej pożyczek, tylko wzmocniło to przeświadczenie. W Anglii spotkało się to z ogromnym oburzeniem, podczas gdy we Francji – gdzie często bywam – nie mówiło się na ten temat wiele.

Na koniec dnia pojawia się więc pytanie, czy planowane wyjście Wielkiej Brytanii nie będzie błogosławieństwem dla Unii i całego procesu integracji europejskiej? Skoro różnice między brytyjskim modelem *bottom-up* a kontynentalnym

top-down okazują się nie do pogodzenia.

Teoretycznie tak. Tylko chwileczkę – to nie jedynie w Anglii mamy niezadowolenie z Unii, z takich czy innych względów. Czasami emocjonalnych i nieracjonalnych, ale tym niemniej gwałtownych. We Francji, we Włoszech, ale także w innych krajach narasta wręcz fala złości. Nie przeciwko samej Unii, ale przeciwko jej niereformowalności. Najlepszym tego przykładem jest wspólna polityka rolna, która początkowo miała utrzymać biednych chłopów francuskich i niemieckich na wsi, aby masowo nie migrowali do miast. Co było zupełnie racjonalne. Obecnie wszyscy widzą natomiast, że dopłaty są korupcjogenne i zarabiają na nich wielcy obszarnicy, z królową Anglii na czele; że należałoby to zreformować, aby wypłacać na cele środowiskowe i dla małych gospodarstw. Tymczasem w Brukseli nie ma żadnej chęci, żeby w ogóle dotknąć ten temat. Mamy więc system napoleoński bez Napoleona, kierowany przez osoby niewybieralne, nie do odwołania i pozbawione wizji przyszłości.

Być może właśnie tak realizuje się postpolityczny projekt europejski – ucieczka od wielkich wizji i technokratyczne zarządzanie.

Ktoś powinien tym systemem wstrząsnąć. Jeśli nic się w Unii nie zmieni, wystarczy jeszcze jeden kryzys finansowy i cała konstrukcja, ze strefą euro na czele, może runąć. Modłę się, żeby Polska pozostała jeszcze przy swojej narodowej walucie.

DR
**ARTUR
BARTOSZEWICZ**



“Europa w oku cyklonu”,
czyli o spodziewanych
ekonomiczno-politycznych
turbulencjach, czekających
Stary Kontynent.

EKONOMIA

Rozmowa z doktorem nauk ekonomicznych
SGH Arturem Bartoszewiczem.



Rozmawia
Michał Banasiak

Michał Banasiak:

Europa silna gospodarczo – to ostatnio modny slogan. Jaką rolę może w dążeniu do takiej właśnie Europy odegrać wspólna europejska waluta?

dr Artur Bartoszewicz:

Wraz ze zwiększaniem się liczby państw członkowskich Unii, będą też nowi chętni do przyjęcia euro. Wyjście ze strefy nie przewiduję. Wyjście jest bowiem trudniejsze niż wejście. Zresztą jak każde wyjście, co pokazuje przykład brexitu. Zobowiązania, które ujawnia się przy próbie wyjścia są potencjalnie ogromnym obciążeniem dla gospodarki. Oczywiście nadal będzie grupa krajów poza strefą. W tym Polska. Nie widzę powodów, dla których mielibyśmy przyjąć euro. To projekt polityczny, a nie gospodarczy.



Europa jest w klinczu. Politycznie jest powiązana z USA. Ekonomicznie – z Chinami. Stany będą "terroryzować" i mieć Europę. Stawiać warunki poszczególnym państwom w celu zaspokojenia swoich potrzeb i potwierdzenia dominacji. W interesie Stanów nie będzie silny, monolityczny układ europejski.

A może stać się gospodarczym?

Trudno przypuszczać, żeby Francja, a zwłaszcza Niemcy, czyli główny beneficjent obecnego stanu rzeczy, chciały podzielić się korzyściami funkcjonującego modelu. Do tego trzeba by integracji polityki monetarnej z fiskalną. A zatem utworzenia zwrotnych transferów fiskalnych dla państw, które ponoszą realne koszty funkcjonowania strefy i są przez nią drenowane. Te obciążenia spadłyby na Niemcy, więc doszłoby do przeorientowania obecnego modelu. W najbliższych latach nie ma co tego oczekiwać. Może kiedyś dojrzałość polityczna do tego doprowadzi, ale patrząc na korozję systemów demokratycznych, to egoizmy poszczególnych państw staną na drodze takim zmianom. Beneficjenci obecnej sytuacji będą bronić swoich interesów i trudno liczyć na przekształcenie euro w altruistyczny projekt gospodarczy, korzystny dla wszystkich.

Czyli Europa za 15–20 lat to w dalszym ciągu rywalizacja pod płaszczykiem współpracy?

Jestem przekonany, że Europa będzie funkcjonowała w strukturach Unii Europejskiej i chciałbym, żeby to była Unia spójniejsza gospodarczo, społecznie i przestrzennie. Żeby była mniej zainteresowana zaspokajaniem potrzeb elit, a bardziej skoncentrowana na dostrzeżeniu faktycznych problemów każdego obywatela. Mam nadzieję, że nie będzie dyskryminacji małych krajów o mniejszej sile i faworyzowania największych. Unia powinna zauważać każdy głos

i dostrzegać, że niezależność każdego państwa może być atutem w rozwoju silnej gospodarczo, konkurencyjnej, a przede wszystkim bezpiecznej Europy. To przecież nasza największa siła. Od kilkudziesięciu lat żyjemy bez wojen (wyjąwszy przypadek Bałkanów, ale nawet one są teraz stabilnym regionem). Jesteśmy rzadkim przykładem bezpieczeństwa w aspekcie społecznym i zdrowotnym, czego na co dzień nie potrafimy docenić. Mam nadzieję, że to się zmieni. Że będziemy bardziej świadomi tego co mamy i będziemy się doskonalić, a nie dla zasady negować dotychczasowe osiągnięcia.

Patrząc na mapę, z Pekinu do Waszyngtonu bliżej przez Ocean Spokojny. Ale droga geopolityczna wiedzie przez Europę. Jak odnajdzie się ona w wojnie ekonomicznej, której trwanie niektórzy szacują nawet na kilkadziesiąt lat?

Permanentny konflikt między Waszyngtonem a Pekinem będzie już stałym elementem gry. Chiny nie oddadzą wywalzonego pola, a i trudno spodziewać się, że Stany zrobią krok w tył. Europa jest w klinczu. Politycznie jest powiązana z USA. Ekonomicznie – z Chinami. Stany będą "terroryzować" i mieć Europę. Stawiać warunki poszczególnym państwom w celu zaspokojenia swoich potrzeb i potwierdzenia dominacji. W interesie Stanów nie będzie silny, monolityczny układ europejski.

Rozbijające zabiegi – jak chociażby inicjatywa 17+1 – już teraz stosują Chiny...

Zgadza się, ale akurat Chinom monolit Europy nigdy nie był potrzebny, nie szedł w parze z ich interesem. Natomiast wydawałoby się, że USA powinno zależeć na silnej, zjednoczonej Europie. Znajdujemy się jednak w takiej sytuacji, że wiodące znaczenie zyskują wspomniane egoizmy narodowe. A to oznacza, że USA będą w stanie poświęcić Europę dla własnych korzyści w relacjach z Chinami. Być może stoimy przed okresem totalnej zmiany układu sił w wymiarze politycznym i gospodarczym. Przyszłość rysuje się jako pełna permanentnych turbulencji. Możemy pożegnać się z okresem stabilności i zacząć naukę funkcjonowania w ciągłej zawierusze. W sierpniu i we wrześniu na Karaibach spustoszenie ślad huragan Dorian. Wyobraźmy sobie gospodarkę, gdzie taki Dorian jest ciągle obecny. A przynajmniej jest stale zapowiadany. Swoboda działania staje się ograniczona, trudności mamy znacznie więcej. Istniejące już przewagi będą się ugruntowywać, a dysproporcje rozwojowe narastać.

Wygląda więc na to, że w amerykańsko-chińskiej wojnie handlowej i związanymi z nią podchodami wobec Europy, poszczególne kraje będą szukać dla siebie korzyści, nie oglądając się na interes sąsiadów.

Taka sytuacja może być dla poszczególnych krajów opłaczalna. USA oferują Niemcom konkretne korzyści ekonomiczne, a Niemcy już wielokrotnie

pokazywali, że kwestie gospodarcze biorą u nich górę nad politycznymi. My chcielibyśmy budować Europę wartości, a Niemcy nie potrafią zrezygnować z Nord Stream 2. Jeżeli będzie zagrożony ich rynek motoryzacyjny, z którego gros produktów ląduje w Stanach, to dadzą się przekonać do silniejszej współpracy i podjęcia decyzji niekoniecznie korzystnych dla pozostałych państw europejskich.

Zresztą nasze podejście nie jest inne. Poszukując niezależności surowcowej od Rosjan, wpadamy de facto w kolejne ręce, tym razem amerykańskie. Traktujemy to jako alternatywę dla Rosji, ale nie mamy pełnej swobody działania, bo wchodzimy w kontrakty wieloletnie. Będziemy kupować gaz nie od dziesięciu czy stu, ale od jednego dostawcy, czyli zamieniamy jeden do jednego. Oczywiście zmniejszamy w ten sposób ryzyko polityczne; ktoś powie, że zwiększamy bezpieczeństwo, bo kupujemy gaz od tego, od kogo jesteśmy zależni w wymiarze bezpieczeństwa militarnego. Ale jednocześnie uzależniamy się gospodarczo. Stajemy się zależni od kondycji, warunków funkcjonowania tamtejszej ekonomii i chwiejnych wyników demokracji w USA, która może wynieść na lidera różnych polityków.

W tle wojna handlowa, a na pierwszym planie zabawa ekonomią dla celów bieżącej polityki. Coraz więcej zapowiedzi nadchodzącego kryzysu.

Cykl koniunkturalny jest nieubłagany, więc pytanie nie brzmi "czy kryzys będzie", ale "jak będzie wyglądał". Z uwagi na nowatorską politykę pieniężną prowadzoną w ostatnich latach, niskie stopy procentowe, dużą ingerencję banków centralnych i rządów w ratowanie gospodarek i nałożenie na to ryzyka konfliktu ekonomicznego na poziomie światowym, nasze dotychczasowe rozumienie kryzysu trzeba będzie zmienić.

2008 czegoś nas nauczył? Lepiej zniesiemy kolejny kryzys?

Żyjemy w przekonaniu, że rozwój gospodarczy jest zjawiskiem nieskończonym. Nie nauczyliśmy się z poprzedniego kryzysu praktycznie niczego. Nie potrafiliśmy wyciągnąć konsekwencji wobec ludzi którzy wprowadzili na rynek toksyczne rozwiązania i narazili obywateli UE na ogromne straty. Politycy zamiast pomagać obywatelom, skupili się na ratowaniu systemu bankowego. I taki patologiczny system bankowy w dalszym ciągu istnieje. A przecież pieniądź i instytucje same w sobie nie są wartością. Wartością jesteśmy my – obywatele. To my tworzymy wspólnotę. Do tego przez zaburzenia handlowe i polityczne w ramach wspólnoty, tracimy główne narzędzie ochrony, które sprawdziło się w 2008 i 2009 roku – jedność. Teraz broniąc się przed kryzysem i jego skutkami, kraje będą bardzo egoistyczne. A w takim przypadku nawet mniejszy kryzys, może mieć większe konsekwencje. Jeżeli każdy będzie zajmował się tylko własnym

podwórkiem, to nie zauważymy uliczek pomiędzy naszymi domami; a jeżeli nikt się nimi nie zajmie, to doprowadzi to do katastrofy gospodarczej.

Czy taka nieodpowiedzialność i krótkowzroczność, zmieszana z głębokimi podziałami politycznymi i społecznymi, daje w ogóle nadzieję na uniknięcie takiego scenariusza?

Myślenie pozytywne daje szansę na coś, co w ekonomii nazywamy samospełniającą się przepowiednią. Ale nie w interesie wielu środowisk jest by koniunktura była wieczna – na kryzysach można przecież świetnie zarobić. Dlatego nawet jeżeli będziemy bronić rozwiązań prorozwojowych, to w interesie wielu decydentów politycznych i gospodarczych będzie spowolnienie, choćby krótkie. Wtedy są dobre warunki do przecięcia, przeorganizowania, zmiany siły oddziaływania. Jeśli dołożymy do tego banki, instytucje finansowe i spekulantów, to mamy ogromną siłę, z którą trzeba będzie się zmierzyć.

Przeciętny Europejczyk, mający przekonanie, że jakkolwiek siłę oddziaływania ma tylko przy urnie wyborczej, może się tej sile jakkolwiek przeciwstawić?

Czym aktywniejsi będziemy społecznie, gospodarczo, obywatelsko, biznesowo, tym łatwiej będzie znieść największe kryzysy.

Kiedy 15 lat temu wchodziliśmy do Unii Europejskiej, z nadzieją patrzyliśmy na rynki pracy państw zachodu. Teraz, kiedy w ramach Procesu Berlińskiego Bruksela coraz przychylniejszym okiem spogląda w kierunku Bałkanów Zachodnich i pogłębia współpracę z krajami tamtego regionu, może się okazać, że to nasz rynek pracy będzie pożądanym przez jego mieszkańców.

Przy ograniczeniach, które mamy dzisiaj na naszym rynku pracy będziemy zainteresowani napływem wykwalifikowanych pracowników; w tym zakresie już teraz mamy potrzeby, a pracownik rynku bałkańskiego jest z naszej perspektywy lepszy od pracownika z Afryki: bliższy kulturowo, łatwiej go zasymilować i zapewnić mu poczucie bezpieczeństwa. Trudno przewidzieć czy za 15-20 lat będziemy mieć odpowiednią ofertę dla takich pracowników, czy będziemy w stanie konkurować z Niemcami czy Francją, chociażby pod względem oferowanych zarobków. Ale na pewno jakaś część pracowników do nas trafi.

To jednak może spotkać się ze sprzeciwem społecznym. Podobnie jak pewne w przypadku rozszerzenia Unii przesunięcie strumienia funduszy europejskich, z których dotąd tak obficie korzystaliśmy.

Jesteśmy największym beneficjentem środków

europejskich w historii. Wyprzedziliśmy pod tym względem Hiszpanię i Irlandię. Teraz będzie się to zmieniać, ale tu też są dla nas szanse. Niemcy transferując przez budżet unijny pieniądze do Europy Środkowo-Wschodniej, dostawały zwrot jeden do jednego w zamówieniach na nowe technologie czy inne implementowane tam rozwiązania. Podobnie może być wobec nowych państw członkowskich. Pytanie co będziemy mogli tym krajom zaoferować. Jeżeli będziemy atrakcyjni, otwarci i proponujemy rozwiązania korzystne dla beneficjentów funduszy unijnych, wpłacone przez nas składki wrócą..

To będą już jednak wpływy pośrednie. Bezpośrednie transfery z unijnego budżety już teraz nie są tak wysokie.

Ale nie dlatego, że nie mamy potrzeb, ale dlatego, że zmieniają się pewne priorytety w Unii, a my nie radzimy sobie najlepiej w kształtowaniu tych priorytetów. Podam przykład: Polska jest rozgoryczona, bo w perspektywie 2021-2027 otrzymamy mniejsze środki niż dotychczas. To pokłosie m.in. raportu raportów Montiego i Junckera, krytycznie odnoszących się do polityki spójności, z której dużo czerpaliśmy. Raporty wskazały, że to polityka nieefektywna. Problem w tym, że ich twórcami były kraje starej piętnastki. Nowe państwa członkowskie nie były zainteresowane udziałem w pracach nad tym raportem. Nie zgłosiły się, nie walczyły żeby pokazać pozytywne efekty tej polityki. Dlatego nie ma co dziwić, że powstały raport jest krytyczny, a w konsekwencji rozpoczynają się poszukiwania nowych polityk. W ich tworzeniu też nie uczestniczymy, bo uważamy, że polityka migracyjna nas nie dotyczy, a na politykę bezpieczeństwa mamy inne spojrzenie niż decydujące państwa. Kompletnie pominęliśmy polityki związane ze starzeniem się społeczeństwa czy ze społeczeństwem informacyjnym. A potem jesteśmy zdziwieni, że kiedy siadamy do stolika, to pieniądze są już podzielone.

Widoczna jest narracja, że jeśli mamy korzyści z bycia w Unii to znaczy, że nam się należą. A kiedy Unia czegoś wymaga, oczekuje, to jest zła.

Jeżymy się. Przyjmujemy bezzasadną i niezrozumiałą postawę i fatalny język. Cały czas nie do końca rozumiemy czym jest bycie w Unii Europejskiej i nasza obecność w wielu obszarach jest bardzo pasywna i roszczeniowa. Chcemy być zauważani, doceniani, ale nie mamy kompetencji, żeby w pełni funkcjonować w Unii. Mam na myśli chociażby znikomą obecność Polski w zespołach roboczych UE. Od lat powtarzam, że Polska powinna mieć w Brukseli przedstawicielstwa wszystkich ministerstw. Nasze resorty powinny działać i tu, i tam. Uczestnictwo Polaków w zespołach roboczych powinno być standardem. Każdy dyrektor departamentu powinien być zakorzeniony w Brukseli

i dzięki temu mieć możliwość współdecydowania. Ale u nas wyjazd urzędnika do Brukseli wciąż traktowany jest jak nagroda, a nie normalny tryb pracy.

15 lat członkostwa w Unii to wystarczający czas by pogodzić się z faktem, że już nie jesteśmy traktowani jak nowicjusz, którego trzeba prowadzić za rękę?

Jeśli spojrzymy na skalę wzrostu gospodarczego od 2004 roku, na przemiany cywilizacyjne, kulturowe, obywatelskie, to bez względu na to jak bardzo niedoskonalimi wciąż się czujemy i ile jeszcze chcielibyśmy zmienić, trzeba powiedzieć, że potrafiliśmy wykorzystać proces integracji. Przed 2004 nasze oczekiwania wobec członkostwa w Unii były bardzo duże. Liczyliśmy na prawo do bycia częścią UE, przy jednoczesnym zrozumieniu naszych niedoskonałości. Dlatego chciałbym, żebyśmy teraz pozytywnie odbierali unijne aspiracje innych i dawali im szanse. Nawet jeżeli w tym momencie wydają się mocno niedoskonalimi. Bo przecież my też byliśmy niedoskonalimi. Pierwszego maja 2004 roku byliśmy naprawdę niedoskonalimi. A przy tym mieliśmy duży żal do wszystkich, którzy nie dawali nam pełnych praw. Dlatego sami powinniśmy być promotorem takich właśnie pełnych praw dla nowych członków. Powinniśmy stać się państwem, które będzie pomagało swoim doświadczeniem, kompetencjami. Które będzie katalizatorem integracji nowych i starych. Starych, którymi już się stajemy.

GEN.

**BOLESŁAW
BALCEROWICZ**

fot. Wojciech Olkuśnik / AG

Od ponad siedemdziesięciu lat, wyjąwszy krwawe konflikty na Bałkanach i rosyjskie agresje na Gruzję i Ukrainę, Europa jest kontynentem pokoju. A jednak dozbrajanie i walka o militarne wpływy- choć nie tak spektakularne jak w latach zimnej wojny - trwają.

WOJSKO

Dlaczego tak się dzieje? Jakie znaczenie ma wojsko w czasie pokoju? Czy NATO może się rozpaść? Na te i inne pytania odpowiada emerytowany generał dywizji Sił Zbrojnych RP i profesor nauk wojskowych Bolesław Balcerowicz.



Rozmawia
Michał Banasiak

Michał Banasiak:

Zacznę kontrowersyjnie: wydajemy na zbrojenie ogromne pieniądze, ale jednocześnie słyszymy, że w starciu z armią wroga - w tej roli najczęściej obsadza się Rosję - nasze wojsko nie miałyby wiele do powiedzenia. Może wobec tego warto więcej zainwestować w odpowiednie sojusze militarne niż we własną armię?

gen. Bolesław Balcerowicz:

Żeby znaleźć sojusznika, trzeba przedstawiać sobą jakąś wartość, dać coś od siebie. Prezentując wysoką jakość - w sensie głównie militarnym - trzeba być atrakcyjnym, a nawet pożądanym partnerem dla sojuszników. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że warunkiem zawarcia odpowiednich sojuszy militarnych jest należyte inwestowanie we własne siły zbrojne. Sojusznicy będą (i w przeszłości byli) chcieli przyjść z pomocą, stanąć w obronie danego kraju, pod warunkiem, że on sam stanie do walki. Państwo średniej wielkości pozostające bez sojuszników...

... stanowi większą pokusę dla agresora.

...powinno przede wszystkim już w czasie pokoju odstraszać potencjalnego przeciwnika. Polska jest państwem średniej wielkości i jako takie nie ma wystarczającej siły do skutecznego, wystarczająco wiarygodnego odstraszenia. Ma natomiast możliwości odstręczać od agresji potencjalnego napastnika. Może podjąć szereg działań, które spowodują, że ewentualny atak a następnie okupacja zajętych terenów przysporzy agresorowi tak wielu problemów, że staną się dla niego po prostu nieopłacalne.

Posiadanie silnej, przygotowanej armii jest ważne również dlatego, że siły zbrojne to jeden z instrumentów polityki, które w czasie pokoju służą uwiarygodnieniu polityki państwa - zwłaszcza polityki zagranicznej. Armia jest jednocześnie podstawowym narzędziem bezpieczeństwa państwa; także w ograniczonej mierze bezpieczeństwa wewnętrznego. Te funkcje lapidarnie wyraził Platon który pisał, że żołnierze („strażnicy”, „stan wojskowy”) mają czuwać nad nieprzyjaciółmi na zewnątrz i nad przyjaciółmi wewnątrz państwa.

Jaką rolę mogą w systemie „odstręczania wroga” odgrywać wojska obrony terytorialnej?

Podstawę, rdzeń współczesnego systemu obrony muszą tworzyć jednostki operacyjne: wojska lądowe, lotnictwo, wojska rakietowe, ciężka artyleria, marynarka wojenna, siły specjalne - to powinni być zawodowcy. Ale na strategię hybrydową zawodowe wojska operacyjne - ze względu na ich ograniczoną liczebność - to za mało. Potrzeba zabudowy militarnej całego terytorium. Poza tym, im większa dywersyfikacja sił, tym lepiej dla obrony, a tym trudniej dla przeciwnika. Wojska obrony terytorialnej raczej

nie nadają się do regularnych starć z zorganizowanymi związkami taktycznymi. One nie zapewnią wygranej - mogą jedynie utrudnić przeciwnikowi jego działania.



My, w odróżnieniu od krajów Europy Zachodniej, obawiamy się okupacji. Patrzymy na konkretnego przeciwnika - Rosję.

A przeciwnik, nawet po uderzeniu jądrowym, dla osiągnięcia zwycięstwa musi zająć określone terytorium i zmusić obrońcę do poddania się jego woli. I wówczas, jako swojego rodzaju ostatnia deska ratunku, może zadziałać właśnie obrona terytorialna. My, w odróżnieniu od krajów Europy Zachodniej, obawiamy się okupacji. Patrzymy na konkretnego przeciwnika - Rosję. Należy jednak zauważyć, że Rosja niechętnie przystępuje do wojen trudnych. Pierwszy rozbiór Polski przyszedł im łatwo. W 1939 bezproblemowo zajęli Litwę, Łotwę, Estonię i - do spółki z Niemcami - Polskę. W ostatnich dekadach widzieliśmy to samo: Abchazja czy Osetia Południowa? Za darmo. Krym? Za darmo. Dlatego należy wszystkimi kanałami sygnalizować, że Polska nie jest i nie będzie łatwym celem.

Ogłoszony przez ministra obrony narodowej Plan Modernizacji Technicznej zakłada, że w latach 2021-2035, wydatki na unowocześnienie armii wyniosą 524 miliardy złotych. To dużo?

Na początku lat 90. ówczesny minister obrony narodowej admirał Piotr Kołodziejczyk mówił o budżecie przetrwania, a nawet budżecie agonii. To było 3,5 mld dolarów. Teraz mamy ponad 11 mld dolarów na rok. To już sporo - nawet na tle sojuszników - ale wiele jest też do zrobienia.

Jak wiele?

(długie milczenie...)

Zacznijmy od wojsk lądowych, na których się najlepiej znam - mamy Leopardy, które wymagają dopieszczenia, ale mamy więcej T-72, które próbujemy remontować, zamiast dokupić nowszy sprzęt. Mamy świetne transportery opancerzone, ale znacznie więcej mamy bojowych wozów piechoty z lat 60.. Mamy świetne armatohaubice, ale z kilka razy więcej jest na stanie starych radzieckich goździków. Trzeba by też coś zrobić z granatnikami i przeciwpancernymi pociskami kierowanymi.

Obrona przeciwrakietowa i przeciwlotnicza? Jest na tyle dziurawa, że prawie praktycznie jej nie ma. Powinno być co najmniej 6-10 dywizjonów Patriot. Ile będzie? 2. Nie będą w stanie obronić nawet 2-3 lotnisk. Czy w razie ataku ze Wschodu samoloty trzeba będzie przebazować do Niemiec?

O Marynarkę Wojenną lepiej nie pytać.

Dalej lotnictwo. Jest 48 samolotów F-16. Reszta?

MiGi i SU-22 po kilku wypadkach/katastrofach są praktycznie unieruchomione. Śmigłowców prawie nie ma.

Jeśli chodzi o lotnictwo, lekarstwem mają być F-35

Tylko, że te samoloty, razem z całym potrzebnym im oprogramowaniem będą kosztować 6-7 mld dolarów. A nas roczny budżet na wszystko wynosi 11 mld. Wskutek tej decyzji muszą nastąpić radykalne ograniczenia w zakupach innego uzbrojenia, w tym traktowanej priorytetowo obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej itd.



Pakt Północnoatlantycki rozluźni się. Już się rozluźnia i w pewien sposób jest trochę sztucznie podtrzymywany. Nie ma podstawowego spoiwa, czyli silnego poczucia zagrożenia.

Sugeruje pan, że problem nie leży w wysokości budżetu, ale tym jak jest zarządzany?

Wszystko zaczyna się w głowie. Cierpimy przez bałaganiarstwo i brak konsekwencji na poziomie politycznym. Analizowałem w swoim przydługawym życiu wiele programów rozwoju naszego wojska. W istocie miały one sens. Tylko co z tego, skoro każdy nowy minister wprowadzał swoją, często radykalnie odmienną koncepcję. Po wyborach w 2015 roku mieliśmy do czynienia z zanegowaniem strategii powstałej jeszcze w 2014 roku. Nowej strategii w istocie ciąż brak. W międzyczasie zmienił się szef MON i chociaż za sterami stanął człowiek z tej samej opcji politycznej - dokonuje dużych zmian. Potrzebujemy jednej, spójnej strategii, która będzie konsekwentnie realizowana.

Przy okazji zakupów dla wojska regularnie wraca pytanie: kupować za granicą czy produkować swoje?

Poprzednia władza miała podejście: „potrzebujemy najlepszego produktu”. Nieważne czy on będzie polskiej produkcji czy nie. I częściowo miała rację, bo armia musi dysponować najlepszym, najnowocześniejszym uzbrojeniem. Z tym, że z tymi specyficznymi zakupami jest pewien kłopot - uzależniamy się od sprzedawcy. Transakcja najczęściej nie kończy się na samym zakupie. Potem pozostaje potrzeba serwisowania sprzętu, kwestia części zamiennych...

Tego doświadczamy choćby w przypadku samolotów produkcji radzieckiej, rosyjskiej. W sytuacji, gdy Rosja się od nas odcina, pozostaje nam „kanibalizm”: części w jednym samolocie zamieniamy na zabrane z innego. To przypadek uzależnienia, nazwijmy je, tradycyjnym, ale jest i inne: kupujemy rakiety, ale żeby je uruchomić potrzebne są kody. Kody udostępniają producenci, którzy mogą je wykorzystywać na swój użytek.

I jeszcze jedno zagrożenie: wywiad. Zaopatrujemy się w drony szpiegujące, które mają wbudowany wkład informatyczny. Wiemy, że zbierają informacje dla nas. Ale czy tylko dla nas?

Czyli jednak produkcja?

Samowystarczalność jest ideałem - gdzie można, trzeba produkować swoje. Ale po pierwsze: mamy problem z odpowiednią technologią, którą nie zawsze dysponujemy, a po drugie to kwestia opłacalności produkcji. Rozpoczęcie budowy samolotów to potężna inwestycja - nie zaczniemy ich składać z dnia na dzień w jakiejś istniejącej fabryce. Włożymy mnóstwo pieniędzy, żeby w ogóle zacząć, wyprodukujemy pięćdziesiąt samolotów, za jakiś czas jeszcze kilkanaście, a potem co? Mamy za małą armię, żeby samemu produkować niektóre uzbrojenie.

Profesor Bogdan Góralczyk mówi o istnieniu w obecnej polityce „czynnika Trumpa”. Składa się na niego m.in. upodobanie amerykańskiego prezydenta do umów dwustronnych. Zwłaszcza - co zrozumiałe w przypadku biznesmena - handlowych. W kwestiach militarnych też możemy obserwować przesunięcie w tę stronę czy jednak zostaniemy przy sojuszach multilateralnych?

Nie spodziewam się sojuszy bilateralnych. Obserwujemy co prawda zbliżenie polsko-amerykańskie, ale to są szczególne relacje w ramach wielostronnego sojuszu. Poza tym dwustronna kooperacja jest dobra, kiedy wchodzi w nią równorzędni partnerzy albo tacy, którzy wzajemnie mogą się uzupełniać. Umowy czy sojusze bilateralne mogą pojawić się tylko w przypadku, w którym rozpadnie się NATO.



Rosja nie wykona kroku, który jej się nie opłaca, a nie opłaca jej się np. agresja bezpośrednia. Rosjanie mogą pokusić o łatwe łupy i o krok, który zdezorientuje przeciwnika. Do Estonii mogą wejść „na zaproszenie”

Bierze pan taki scenariusz pod uwagę?

Pakt Północnoatlantycki rozluźni się. Już się rozluźnia i w pewien sposób jest trochę sztucznie podtrzymywany. Nie ma podstawowego spoiwa, czyli silnego poczucia zagrożenia.

To znaczy?

Na zawiązanie sojuszu i jego trwania składają się dwa główne czynniki. Pierwszym jest poczucie zagrożenia i przeświadczenie, że samemu nie da się rady obronić. Drugi to wspólnota interesów. Z tym, że same interesy

to trochę za mało, żeby zawiązać sojusz polityczno-militarny. Kluczowy jest pierwszy czynnik, a jednak w Europie, szczególnie zachodniej, brak jest poczucia zagrożenia w wymiarze militarnym. Dodatkowo rozluźniają się więzy między Ameryką a Europą. Warto wciąż mieć na uwadze o, że NATO nigdy nie zostało poddane próbie ognia.

Gdyby te amerykańsko-europejskie więzy poluzowały się jeszcze bardziej, wróci pomysł Armii Europejskiej?

Dopóki Unia funkcjonuje w obecnym kształcie i najważniejsze decyzje są podejmowane nie w Brukseli, a w poszczególnych państwach – wspólna armia nie ma sensu. Kwestie dotyczące bezpieczeństwa militarnego są rozstrzygane przez kraje członkowskie, a nie Unię Europejską jako całość. Jeśli Unia będzie szła w kierunku "Europy Ojczyzn", nic w tym zakresie się nie zmieni.

Jeżeli natomiast Wspólnota chciałaby liczyć się jako byt geopolityczny i mieć w zanadru argument w postaci siły – musi mieć swoją armię. To sprawa prestiżu i wiarygodności.

Dlaczego, poza NATO, współpraca wojskowa w Europie jest tak ograniczona?

Europa nie ma poczucia, że musi bronić się sama. Wkład Stanów Zjednoczonych stanowi ponad 50% budżetu NATO. Do tego dochodzi oczywiście sama amerykańska armia, której część stacjonuje na Starym Kontynencie. Gdyby Amerykanie się wycofali, wzrosłoby poczucie zagrożenia, więc pewnie pomysł budowania czegoś wspólnego by powrócił. Tylko tutaj trzeba postawić szereg pytań o siłę takiego wojska. Pozostaje też kwestia wiarygodności nuklearnego odstraszania przeciwnika. Biorąc pod uwagę dzisiejszą sytuację polityczną, byłaby to najprawdopodobniej armia bez wojsk brytyjskich, więc zostają rakiety francuskie. Jakim arsenałem przeciwrakietowym dysponowałaby taka armia? Przecież teraz wszystko opiera się na partycypacji Amerykanów.

To są kwestie czysto "techniczne". Bardziej skomplikowane są kwestie polityczne i strategiczne. Pamiętam szczyt Rady Europejskiej w Helsinkach, w 1999 roku. Powstał wtedy Europejski Cel Operacyjny – w planie było utworzenie 60-tysięcznych unijnych sił szybkiego reagowania. Docelowo mówiło się nawet o 180 tysiącach żołnierzy. Tony Blair, Jacques Chirac i Gerhard Schroeder byli niezwykle dumni z tego pomysłu. I co z niego zostało? Grupy bojowe, które funkcjonują w zasadzie głównie na papierze.

Utrzymanie armii w gotowości to trudne zadanie.

Mamy 106-tysięczną armię zawodową. A ilu utrzymanych w należytej kondycji rezerwistów? Zero. Jest sprzęt, broń, amunicja, a rezerwistów nie ma. I nie będzie, bo ich nie szkolimy. Praktycznie nie prowadzi się szeroko zakrojonych ćwiczeń. Mieliśmy sojuszniczą

"Anakondę", która wypadła świetnie. Tyle tylko, że poprzedziły ją dwuletnie przygotowania. Ćwiczenia na niższych szczeblach – batalionu, pułku, brygady powinny odbywać się regularnie. Kiedyś dowódca wyprowadzał na poligon cały pułk. Czy teraz z koszar wyprowadza się choćby cały zwarty batalion? W trybie alarmowym?

A jak wygląda to w Europie?

Armia, którą podziwiałem gdy wchodziliśmy do NATO – armia niemiecka, marnieje, kruszy się. Niemcy mają problemy zarówno ze sprzętem jak i z personelem – nie ma chętnych do służby. Brak ducha, bo, co cały czas podkreślam, brak poczucia zagrożenia.

A to zagrożenie jest?

Bytem, który nam zagraża jest Rosja.

Europa jest w stanie na to zagrożenie odpowiedzieć?

Wydajemy na wojsko czterokrotnie więcej niż Rosjanie. Jeśli dorzucimy USA to wyjdzie, że ośmiokrotnie. A jeśli chodzi o konkrety, to mamy przewagę w lotnictwie i marynarce. Rosja ma przewagę jedynie w czołgach i niektórych typach artylerii klasycznej. Z tym, że trzeba pamiętać, że suche liczby należy traktować z dystansem. Potencjał militarny Europy funkcjonuje bowiem, inaczej niż w Rosji, w pewnym rozproszeniu. W razie konfliktu, trudno liczyć – z powodów czysto geograficznych – na udział na przykład wojsk lądowych Portugalii czy Hiszpanii. Rosja góruje dyslokacją, ale też strategią. I po jej stronie jest inicjatywa. Może więc zaskoczyć, co daje w początkowym okresie konfliktu przewagę.

Frontalny atak z zaskoczenia wydaje się dzisiaj nieprawdopodobny.

Rosja nie wykona kroku, który jej się nie opłaca, a nie opłaca jej się np. agresja bezpośrednia. Rosjanie mogą pokusić o łatwe łupy i o krok, który zdezorientuje przeciwnika. Do Estonii mogą wejść „na zaproszenie” – przecież 25% mieszkańców tego kraju to Rosjanie. Na terenach przygranicznych żyje ich jeszcze więcej. Pewnego dnia powiedzieć: „my chcemy do Rosji”. I jak wtedy zareagują inne państwa? Przecież nie będzie miał tu miejsca otwarty akt agresji. Na tym polega rdzeń strategii w działaniach zwanych „wojną hybrydową”. Postawić przeciwnika w niepewności i niezdecydowania co do sposobu reagowania. I czekać aż zaczną przyzwyczajać się do nowej sytuacji, a potem o wszystkim zapomni. Tak jak zapomniano o Abchazji, Osetii Południowej czy Naddniestrzu.

Czego ze strony Rosji powinniśmy się dzisiaj najbardziej obawiać?

Groźna byłaby integracja Rosji z Białorusią.

A tego nie można wykluczyć, bo stojący na straży samodzielnego bytowania Białorusi Aleksandr Łukaszenka nie jest przecież wieczny. I wtedy może się okazać, że nie trzeba będzie niczego zajmować siłą czy podstępem. Rosjanie wejdą na Białoruś na zaproszenie. Bez jednego wystrzału podejną pod Bug i wtedy też nie będzie wiadomo jak na to zareagować. W publicznej debacie strategicznej, problem przyszłości Białorusi jakoś nam się wymyka. Szkoda.

RYSZARD FLOREK



Biznesowa mapa świata ulega nieustannym przeobrażeniom.

Z jednej strony coraz większe połacie rynku próbują zagarnąć duże, ponadpaństwowe korporacje, z drugiej politycy nakłaniają do ekonomicznego patriotyzmu i wspierania rodzimych marek.

BIZNES

Jak na tle europejskich konkurentów wypadają polskie przedsiębiorstwa, co zrobić, aby zwiększyć i ich siłę przebicia i jak postępować, by każdego dnia dokładać swoją cegiełkę do rozwoju gospodarczego kraju, tłumaczy prezes firmy FAKRO Ryszard Florek.



Rozmawia
Michał Banasiak

Michał Banasiak:

Stoi pan na czele firmy, której udało się zaistnieć na rynku europejskim i światowym. Okazało się jednak, że rywalizacja z już istniejącymi, większymi konkurentami jest trudna nie tylko z ekonomicznego punktu widzenia. Jakie przeszkody stoją na drodze mniejszych firm, które chcą rzucić wyzwanie potentatom?

Ryszard Florek:

Wszystkie polskie firmy, próbujące swoich sił na rynku globalnym, ale także działające na rodzimym rynku muszą zmagać się z nierówną konkurencją zachodnich koncernów. Te koncerny są na ogół wielokrotnie większe od ich polskich konkurentów, dysponują znacznie większym kapitałem, a przede wszystkim dużo większym efektem skali. Dodatkowo, jak pokazuje przykład firmy FAKRO, polskie firmy mierzą się z antykonkurencyjnymi praktykami ze strony ich większych, zachodnich rywali.



Od 2004 roku KE ani razu nie opowiedziała się po stronie przedsiębiorstwa z nowo przyjętych państw członkowskich, jeżeli sprawa dotyczyła nadużycia pozycji przez firmę ze “starej” Unii.

FAKRO dostarczyło Komisji Europejskiej ponad czterysta dowodów na nieuczciwe działania firmy VELUX, które mają na celu doprowadzenie do wyeliminowania nas z rynku. Mamy tu zarówno przykłady stosowania drapieżnictwa cenowego, czyli sprzedaży poniżej kosztów, czarnego PR-u względem produktów z Polski, jak i nierównego traktowania klientów. Nasz konkurent stosuje w tym celu rabaty inwestycyjne, markę walczącą, umowy wyłącznościowe, zniżkę cenową czy też punktowe, nieoficjalne rabaty mające na celu wyeliminowanie nas z obrotu.

W wielu wywiadach podkreśla pan, że istnieje unijne prawo, które reguluje kwestie konkurencji i powstawania monopolu. Dlaczego w takim razie nie jest egzekwowane?

W momencie gdy Polska i pozostałe kraje przystępowały do UE, Komisja Europejska zajmowała się wszystkimi skargami, które do niej wpłynęły. Krótko po naszym wejściu, kiedy firmy z nowych krajów mogły składać do UE jakieś zastrzeżenia, Komisja zmieniła zasady gry, nie konsultując tego z żadnym ciałem reprezentującym wszystkie kraje. Obecnie, zgodnie z wewnętrznymi wytycznymi, zajmuje się tylko tematami, które sama uzna za ważne. To ogromne rozczarowanie. Jak wskazuje raport, od 2004 roku KE ani razu nie opowiedziała się po stronie przedsiębiorstwa z nowo przyjętych państw członkowskich, jeżeli sprawa dotyczyła nadużycia

pozycji przez firmę ze “starej” Unii. Dużo chętniej zajmuje się skargami składanymi przez kraje tzw. “starej Europy”. Jak wynika z raportu “Polityka Insight” pt. „(Nie)uczciwa konkurencja. Czy unijne prawo konkurencji sprzyja niektórym państwom”, ten problem dotyczy nie tylko polskich firm, ale i firm z pozostałych krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

Jak zatem, przy ugruntowanej współpracy dużych, międzynarodowych marek, lobbujących u najważniejszych krajowych i unijnych polityków, walczyć o swoje racje?

Mogę się odnieść do przykładu naszej firmy. FAKRO złożyło w 2006 roku zawiadomienie do UOKiK ws. nadużywania pozycji dominującej przez VELUX. Urząd w toku postępowania podjął decyzję o przekazaniu sprawy do Komisji Europejskiej z uwagi na szeroki europejski zakres rynku okien dachowych. Komisja zamknęła postępowanie z urzędu w 2009 nie podejmując merytorycznego rozstrzygnięcia. W 2012 roku FAKRO złożyło własną skargę do Komisji przedstawiając ponad 400 dowodów. KE po 6 latach podjęła decyzję, że nie zamierza prowadzić postępowania i po raz kolejny nie odniosła się merytorycznie do stawianych VELUXowi zarzutów. FAKRO walczy jednak dalej – złożyliśmy odwołanie od tej decyzji do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Nie boimy się mówić na głos o nierównych szansach konkurowania na rynkach europejskich.

zęsto podkreśla pan, że nie chodzi o faworyzowanie polskich firm, czy to na rynku wewnętrznym czy poza Polską, ale o równe traktowanie.

Komisja Europejska zajmuje się praworządnością w Polsce a ja chciałbym by sama zajęła się przestrzeganiem prawa. Albo chcemy budować wspólną Europę albo dzielimy na lepszych i gorszych. Moje doświadczenia wskazują, że dla Komisji Europejskiej ten drugi wariant jest bliższy. Obecna Komisja Europejska zamiast myśleć o wzmocnieniu pozycji Unii Europejskiej na arenie światowej skupia się na obronie interesów wybranych krajów Europy Zachodniej.

Wchodzące do Polski zagraniczne firmy często korzystają z ulg podatkowych czy innych benefitów ekonomicznych. To faktycznie konieczne, aby przyciągnąć zagraniczne inwestycje? Jak zapatruje się pan na to jako rodzimy przedsiębiorca?

Nasze rodzime firmy rozwijają się organicznie, stopniowo, co roku o trochę zwiększając skalę działalności. Z tego względu trudniej jest im zainwestować na przykład w specjalną strefę ekonomiczną. Inaczej jest w przypadku zagranicznych firm, które są gotowe wybudować u nas zupełnie nową fabrykę i nawet przez 10 lat do niej dopłacać – żeby zdobyć nasz rynek. Stać je na takie posunięcia

w przeciwieństwie do naszych firm. Jednak specjalne strefy ekonomiczne czy granty inwestycyjne same w sobie nie są złe. Gdybyśmy zagranicznym inwestorom nie zaproponowali takich zachęt, to oni by do nas nie przyszedli. Pytanie tylko, dlaczego odbywa się to u nas kosztem polskich firm, dlaczego nasze firmy są często traktowane w naszym kraju gorzej niż zagraniczne? Jeśli będziemy stawiać głównie na zagraniczny kapitał, to wkrótce przestaniemy się rozwijać i nigdy pod względem rozwoju gospodarczego, poziomu życia, zarobków, nie dogonimy Zachodu.

Trafiłem na pana opinię, że Polacy muszą popracować nad "solidarnością ekonomiczną". "Gdzie nie ma kapitału społecznego, tam jest bieda. My Polacy musimy ze sobą współpracować" - to pana słowa. Dlaczego w takim razie nie współpracujemy i na czym ta współpraca powinna polegać?

Konieczne jest aby Polacy ufali sobie i dla wspólnego dobra chcieli ze sobą współpracować. To pozwoli nam osiągać więcej korzyści i wykorzystywać tzw. efekt synergii. Nie da się tego jednak zrobić bez powszechnego zrozumienia podstawowych praw gospodarki. Dlatego razem z czołowymi polskimi przedsiębiorcami powołałem Fundację Pomyśl o Przyszłości, która zajmuje się rozwojem gospodarczym poprzez budowanie kapitału społecznego i działania na rzecz wyrównywania szans polskich przedsiębiorstw w konkurencji na rynku unijnym. Każdy z nas pełni różne role społeczne. Każdy z nas, w różnym stopniu, ma wpływ na efektywność polskiej gospodarki w zależności od roli, jaką pełni w danej wspólnotie.

Są politycy, którzy powinni tworzyć dobre prawo, służące rozwojowi gospodarcemu naszego kraju; urzędnicy i sędziowie, którzy powinni interpretować prawo tak, aby sprzyjało ono obywatelom i rozwojowi gospodarcemu naszej wspólnoty ekonomicznej; przedsiębiorcy - szczególnie ci, którzy posiadają motywację do systematycznego rozwijania swoich firm, już nie z powodów zaspokajania własnych potrzeb, lecz z potrzeby pracy na rzecz rozwoju kraju. Do tego dochodzą media i środowiska opiniotwórcze, które więcej uwagi powinny poświęcać kwestiom rozwoju gospodarczego oraz rzetelnie informować społeczeństwo naszej wspólnoty ekonomicznej; pracownicy, którzy poprawiają efektywność swoją oraz firmy, dla której pracują; konsumenci, którzy wiedzą, jak efektywnie wydawać swoje pieniądze tak, aby zwiększyć PKB i aby część wydawanych przez nich pieniędzy do nich powróciła. I przede wszystkim wyborcy, którzy powinni wybierać polityków działających na rzecz rozwoju gospodarczego kraju, a nie tylko mówiących o gospodarce.

To od naszych codziennych decyzji zależy w jakim kraju będziemy żyć.

W raporcie Fundacji Pomyśl o Przyszłości czytamy, że w Polsce za mało osób, w stosunku do wszystkich

obywateli pracuje na PKB. Jak to rozumieć, a przede wszystkim jak to zmienić?

Średnia wynagrodzeń w określonym państwie to w przybliżeniu wartość PKB podzielona na wszystkich obywateli danego kraju. W Polsce na 38 mln mieszkańców tylko 14 mln jest zatrudnionych w gospodarce. Wynika stąd, że jeden zatrudniony w gospodarce musi „zarobić” na trzy osoby. Dla porównania, w Niemczech w gospodarce zatrudnionych jest 40 mln na 80 mln wszystkich obywateli, tym samym wypracowana przez nich wartość dzielona jest na dwóch obywateli. Rozrost administracji publicznej, emigracja młodych Polaków to główne przyczyny takiego stanu rzeczy. Ograniczenie zatrudnienia w sektorze publicznym, zachęcenie Polaków do powrotu z emigracji mogłoby tę sytuację zmienić.



Jeśli będziemy stawiać głównie na zagraniczny kapitał, to wkrótce przestaniemy się rozwijać i nigdy pod względem rozwoju gospodarczego, poziomu życia, zarobków, nie dogonimy Zachodu.

Przedsiębiorcy często mają w Polsce łatkę dorobkiewiczów, którzy powinni podzielić się swoimi zyskami z innymi. Widzi pan szanse na zmianę tej opinii?

W Polsce prywatne przedsiębiorstwo często postrzegane jest jako źródło zysku właściciela, a nie jako ogniwo gospodarcze wspólnoty budującej zamożność. Tymczasem przedsiębiorca inwestując w rozwój własnej firmy, powiększa wspólne dobro, z którego korzysta cała wspólnota ekonomiczna. W ten sposób powstają kolejne, coraz lepiej płatne miejsca pracy. Firma osiąga korzyści skali, więc staje się bardziej konkurencyjna na rynku. Najlepszym sposobem na zmianę tej opinii jest świadomość gospodarcza Polaków, znajomość mechanizmów rynkowych. Fundacja Pomyśl o Przyszłości poprzez swoje działania edukacyjne stara się zmienić sposób postrzegania rodzimego biznesu.

Przewiduje pan, że polskich firm z sukcesami międzynarodowymi będzie coraz więcej czy coraz mniej?

Polskie firmy mają dużo mniejsze zasoby kapitału i efektu skali. Dlatego też trudniej jest się im przebić. Ale FAKRO jest dowodem na to, że rodzima polska firma, z polskim kapitałem jest w stanie osiągnąć sukces na arenie międzynarodowej. Mam nadzieję, że nasz przykład da się również innym firmom.

Jak ocenia pan przedsiębiorczość młodych Polaków?

Młodzi Polacy są bardzo przedsiębiorczy i to mnie bardzo cieszy. Do bycia przedsiębiorcą potrzebna jest wiedza, praca, szczęście i wytrwałość. Trzeba mieć w sobie także dużo odwagi. Mam tu na myśli gotowość do podejmowania ryzyka. Ale przy tym wszystkim przedsiębiorca musi umieć liczyć, przewidywać, analizować, słuchać i wtedy podejmować konkretne decyzje. Młodzi Polacy nie boją się mówić głośno o swoich oczekiwaniach, nie brakuje im odwagi w podejmowaniu decyzji. Wierzę, że rozwiną polską gospodarkę.

Wiele badań i sondaży pokazuje zastraszającą wiedzę ekonomiczną Polaków. Czytałem wyniki badania wskazujące, że ok. 50% młodych ludzi nie potrafi podać różnicy między netto a brutto. Lekcje ekonomii powinny trafić do szkół?

Fundacja Pomyśl o Przyszłości regularnie prowadzi szkolenia dla uczniów. Staramy się zainteresować młodzież ekonomią, pokazując im jak duży wpływ oni sami, ich codzienne decyzje mają na sytuację gospodarczą naszego kraju. Rozpoczęliśmy także produkcję filmów, które w zabawny i przystępny sposób tłumaczą podstawowe pojęcia ekonomiczne. Fundacja wyszła także z inicjatywą poszerzenia obecnych zajęć wiedzy o społeczeństwie o zagadnienia związane z życiem we wspólnocie ekonomicznej, tworząc w ten sposób nowy przedmiot „wiedza o społeczeństwie i życiu we wspólnocie ekonomicznej”.

Jakie kroki muszą zostać podjęte przez polskie władze i co musi robić polskie społeczeństwo, żeby gonić Zachód pod względem zarobków?

Prowadząc działalność na rynku globalnym nie wszystko zależy od wysiłku i woli przedsiębiorcy, czy też pracowników danej firmy. Duże znaczenie ma otoczenie gospodarcze i prawne w jakim działa dana firma, a przy działalności globalnej także otoczenie polityczne. Prowadząc działalność w ponad 50 krajach świata zauważyliśmy, że inne podejście do gospodarki mają obywatele zamożnych krajów, a inne krajów ubogich. Kluczem jest umiejętność współpracy całego społeczeństwa, a więc tzw. kapitał społeczny. Dążymy do tego, aby Polacy mieli świadomość, że wszyscy jesteśmy odpowiedzialni i mamy wpływ na rozwój gospodarczy kraju, jakość i poziom naszego życia. Potrzeba nam silnych polskich firm globalnych, a do tego niezbędny jest kapitał społeczny. Za rozwój gospodarczy kraju musi wziąć odpowiedzialność całe społeczeństwo, nie tylko przedsiębiorcy, politycy, ale również urzędnicy, sędziowie, nauczyciele, dziennikarze, pracownicy i konsumenci. Często, aby wiele zmienić nie trzeba nowych przepisów, tylko przełomu mentalnego, a przede wszystkim wyzbycia się zawiści i dbania we własnym interesie o polskie rodzime przedsiębiorstwa. W naszym

odczuciu przekazywanie tej wiedzy jest obowiązkiem przedsiębiorców, a zaangażowanie w tematy gospodarcze traktujemy jako element społecznej odpowiedzialności biznesu.

DR
**EDWARD
WĄSIEWICZ**



Globalizacja i rozwój technologiczny odciskają piętno na każdym polu naszej działalności. Nawet tak tradycyjna dziedzina jak dyplomacja nie oparła się konsekwencjom wzrostu naszej mobilności i pogłębiania międzypaństwowej współpracy.

DYPLOMACJA

O zmianach, które przechodzi tradycyjna dyplomacja mówi Konsul Honorowy Republiki Austrii we Wrocławiu Edward Wąsiewicz.



Rozmawia
Michał Banasiak

Michał Banasiak:

W dzisiejszym zglobalizowanym świecie, który dzięki internetowi i naszej mobilności bardzo się "skurczył", każdy z nas jest na swój sposób dyplomatą. Zgodzi się pan?

dr Edward Wąsiewicz:

Wszystko zaczyna się i kończy na człowieku. Dialog daje efekty nie tylko w zamkniętych gabinetach polityków, ale też – a może przede wszystkim – pośród "zwykłych" obywateli.

Ostatnio np. staram się nakłonić do współpracy studenckie koła naukowe z Politechniki Wrocławskiej i Politechniki w Grazu. Zajmują się dokładnie tym samym i gdyby kooperowały, to zamiast robić dwa razy to samo, mogłyby być już dalej w swoich działaniach. Są to swego rodzaju zabiegi dyplomatyczne.

Pojęcie "dyplomacji" się poszerza?

Coraz więcej mówi się o "dyplomacji regionalnej". Na początku września mieliśmy nawet w Warszawie Szczyt Dyplomacji Samorządowej i Ekonomicznej. Ludzie w regionie aktywnie działają, angażują się w różne projekty i próbują budować więzi z pominięciem szczebla centralnego. W wielu przypadkach będzie się to sprawdzać, bo nie wszędzie trzeba angażować administrację centralną. Nikt nie próbuje podważać jej istoty, ale chodzi o budowę czegoś uzupełniającego, o wartość dodaną.

Wierzę też siłę dyplomacji społecznej. W Austrii w jej skład wchodzi np. Biblioteki Austriackie. W Polsce jest ich sześć. Austria daje księgozbiór, który co roku uzupełnia, i szkoli pracowników. W takim miejscu można nie tylko wypożyczyć fachowe pozycje, ale też wziąć udział w interesujących wydarzeniach. Na przykład Biblioteka Austriacka w Opolu każdej wiosny, od dwudziestu paru lat, organizuje "Wiosnę Austriacką". Począwszy od marca, przez półtora miesiąca odbywają się koncerty, spotkania, wymiany międzyszkolne. Uczniowie ze szkół zawodowych Opolszczyzny wyjeżdżają do Styrii – regionu partnerskiego i niektórzy tam zostają by kontynuować edukację albo rozpocząć pracę.

Instytut Austriacki organizuje kursy językowe na różnych poziomach. Dysponuje znacznie mniejszym budżetem niż Instytut Goethego, a w skali świata uczy niemieckiego wielokrotnie więcej osób.

Mówi pan, że to wszystko funkcjonuje obok tradycyjnej dyplomacji. Ale zapewne nie pozostaje bez wpływu na jej rolę?

Klasyczna dyplomacja na poziomie ambasadorskim jest nieodzowna, bo scala i koordynuje te wszystkie pomysły, a do tego jest swego rodzaju kotwicą. W związku z tym zasadnicza rola dyplomaty pozostaje taka sama: powinien obserwować, wyciągać wnioski i przekazywać sugestie politykom w swoim kraju, pozwalające na optymalizację korzyści w kontaktach

międzynarodowych. To co się zmienia, to konieczność specjalizacji w danym obszarze. Jeśli dany dyplomata działa na obszarze objętym konfliktem, powinien dobrze znać dane państwa i rozumieć o co w trwającym sporze chodzi. I to dotyczy właściwie każdej tematyki, w której chce się efektywnie funkcjonować. Jednak specjalizacja to nie wszystko, bo uważam, że coraz potrzebniejsi są ludzie renesansu. Jeśli ktoś zamyka swoje horyzonty, może stracić z pola widzenia zmiany akcentów w polityce jakiegoś kraju i nie umieć trafnie ocenić sytuacji. Umiejętność kompleksowego spojrzenia na dany kraj i szybkiego uczenia się to bezcenne atuty.



Brakuje nam umiejętności rozróżnienia problemu od człowieka, który może ten problem rozwiązać. Jest to trudne, bo taką tendencję ma w jakimś stopniu każdy z nas. Ale w tym właśnie powinna sprawdzać się dyplomacja

"Dyplomata ma obserwować i wyciągać wnioski". Jak jest z praktyką?

Jestem zwolennikiem modelu austriackiego. I to nie dlatego, że sam w nim funkcjonuję, ale dlatego, że to faktycznie dobry i sprawdzony model. Dość powiedzieć, że Akademia Dyplomatyczna w Wiedniu działa – w zasadzie nieprzerwanie – od kongresu wiedeńskiego. Austriaccy zawodowi dyplomaci mogą być na jednej placówce maksymalnie cztery lata. Ten okres ma gwarantować, że dany przedstawiciel nie przestanie myśleć w kategoriach interesu swojego państwa. Minus jest taki, że pierwsze trzy lata mijają w zasadzie na orientacji i nawiązaniu bezpośrednich kontaktów, z których korzysta się tylko rok. Dlatego uzupełnieniem są konsule honorowi. Austriacy mają takich około trzystu na całym świecie. To ludzie, którzy znają lokalne realia i są na miejscu rozpoznawalni. Od nich nie wymaga się myślenia w kategoriach „urzędowo”-austriackich, a szukania jak największej liczby połączeń i zbierania skojarzeń. Z jednej strony rola obserwatora, z drugiej sznyt społecznika. Kiedy pojawia się jakiś problem, ministerstwo zbiera opinie ambasadorów i tworzy grupy, które mają zajmować się pracą nad rozwiązaniem. Do tych grup zapraszani są konsulowie, ale też specjaliści spoza służby dyplomatycznej aby nie opierać się tylko na obserwacjach.

A na ile z pracy dyplomaty de facto innego kraju, korzysta kraj-gospodarz, w pana przypadku Polska?

Trzy lata temu zdefiniowano w polskiej polityce edukacyjnej konieczność powrotu do szkolnictwa zawodowego. A ponieważ jednym z najlepiej działających w tym zakresie jest system austriacki

- nawet niektóre kantony w Chinach czerpią z tych wzorców - przygotowałem odpowiednią prezentację. W Austrii ponad 70% studentów przeszło wcześniej ścieżkę zawodową. Tylko 30% kończy odpowiednik naszych liceów. I wcale nie jest tak, że ta 1/3 to humaniści. Ci z fachem w ręku - do pracy w branży maszynowej, elektrycznej czy kompozytów - idą na studia prawnicze i otwierają swoje kancelarie. Takie połączenie daje korzyści nie tylko poszczególnym osobom, ale całemu krajowi. Styria, czyli land ze stolicą w Grazu, jest wg rankingów najbardziej innowacyjnym regionem w Europie. Jego wskaźnik innowacyjności wynosi 4,6. Dla porównania druga na liście Badenia-Wirtembergia ma 2,6, a średnia dla strefy euro wynosi 1,4. Polska ma 0,9.

Mówię o tym, bo dopóki obracamy się tylko w znanym sobie środowisku, jesteśmy przekonani o wyjątkowości sposobu jego funkcjonowania. A tu jest okazja do porównania innych rozwiązań. Może coś działa tam lepiej, warto jest podpatrzenia?

Jesteśmy na takie podpatrywanie otwarci?

Przy okazji setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości wojewoda dolnośląski poprosił działających we Wrocławiu konsuli honorowych, żeby pojechali do mniejszych miejscowości w regionie i powiedzieli tam o swojej pracy i tym, co ciekawe w krajach, które reprezentujemy. Odwiedziłem dwa czy trzy licea i zaskoczyły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze niesamowite zainteresowanie. Nie ograniczyło się jedynie do samego spotkania, bo wiele osób odzywało się do nas jeszcze później, bo chciały o coś dopytać, coś uszczegółowić.

Po drugie zdziwiło mnie, że szkoły nie wiedzą o wielu możliwościach jakie mają uczniowie. Wiedeń ma na przykład program dla osób w wieku 15-24 lata, w ramach którego można odwiedzić to miasto. Wystarczy wypełnić wniosek aplikacyjny, który w zasadzie jest formalnością, i opłacić transport. Na miejscu czeka zakwaterowanie, wyżywienie, polskojęzyczny przewodnik i darmowy wstęp do wielu muzeów. Wiem, że teraz szkoły gremialnie wysyłają takie wnioski i chcą skorzystać z tej opcji.

Poza uczniami chętnie wyjeżdżają też samorządowcy, wykorzystując kontakty i umowy partnerskie. Co budujące, nie traktują tych wyjazdów jako przyjemnej wycieczki, ale jako szansy na zobaczenie jak zorganizowany jest np. transport miejski. Można się wiele nauczyć.

Można, ale czy rzeczywiście wykorzystujemy te możliwości? Wyjazdy zagraniczne kilku czy kilkudziesięciu burmistrzów, urzędników to chyba trochę za mało.

Mamy skłonność do szukania słynnej polskiej "trzeciej drogi" i niechętnie korzystamy z gotowych rozwiązań. Inna sprawa, że nie zawsze można je skopiować jeden do jednego. Pojawia się problem asymetrii

struktur. Kiedyś powstał pomysł wspólnego, polsko-austriackiego funduszu dla firm, z budżetem na badania i wdrożenia nowych rozwiązań. Prowadzimy już takie fundusze z Niemcami i Szwajcarami. W przypadku Austrii pojawił się jednak problem, bo u nas za ich powołanie byłaby odpowiedzialna administracja rządowa, a w Austrii ani administracja federalna, ani landowa nie ma z tym nic wspólnego. Za takie projekty odpowiada Izba Gospodarcza, mająca oddziały w każdym z dziesięciu landów. Od razu jest więc problem natury urzędniczej, bo trzeba stworzyć wspólne procedury.

Podobnie było przy zainteresowaniu austriackim modelem szkolnictwa zawodowego. Tam uczniowie spędzają 1/3 roku na praktykach w firmach. U nas miejsca takich praktyk zostały polikwidowane na początku transformacji po 1989 roku. Teraz się to odradza, np. firmy z sektora górniczego czy energetycznego obejmują patronatem klasy w szkołach zawodowych. Ale dojdzie to etapu, na którym są Austriacy zajmie dużo czasu.



Potrzeba przekonywania oponenta zdrową argumentacją i zrozumienia stanowiska drugiej strony - nawet jeśli się z nim nie zgadzamy. Tylko w ten sposób jesteśmy w stanie się dogadywać.

Wróćmy do klasycznej dyplomacji. Obserwując polityków, odnoszę wrażenie, że ztracają umiejętność negocjowania. Dane propozycje, choćby i bardzo korzystne z punktu widzenia obywatela, są blokowane przez przeciwników politycznych "dla zasady". Tylko dlatego, że wyszedł z nimi ktoś z innego obozu.

Brakuje nam umiejętności rozróżnienia problemu od człowieka, który może ten problem rozwiązać. Jest to trudne, bo taką tendencję ma w jakimś stopniu każdy z nas. Ale w tym właśnie powinna sprawdzać się dyplomacja. Dlaczego tego nie robi? Po bardzo złych doświadczeniach XX-ego wieku, zwłaszcza jego pierwszej połowy, ztratiliśmy nieco umiejętność nazywania rzeczy po imieniu i wracania do pierwotnych, podstawowych wartości. Nasza zachodnia hemisfera została zbudowana - co może zabrzmieć trywialnie - na bardzo podstawowych wartościach: na prawie napoleońskim, wynikającym jeszcze z myśli rzymskiej, na rozumieniu i poczuciu piękna związanego z kulturą helleńską, a w wymiarze wyższym, transcendentnym, na religii judeochrześcijańskiej. Wobec tych nieszczęść, które dotknęły nas w XX wieku, niektórzy myśliciele, próbowali zbudować alternatywny model. Chcieli zrezygnować z wiary, z ducha i zachwycać się rozwojem technologicznym. Uznali, że najprościej osiągnie się taki stan szukając wszędzie konsensusu i całkowicie rezygnując z dotychczasowego modelu. Podjęli próbę stworzenia społeczeństwa, gdzie

poszczególni ludzie nie będą się od siebie różnić. Poprawność polityczna, która sama w sobie nie jest niczym złym, została w pewnym sensie wynaturzona. Poszło to w kierunku pozbawienia tożsamości narodowej, lokalnej, wyznaniowej.

Przeciwko czemu buntuje się znaczna część mieszkańców krajów europejskich.

I to jest odpowiedź na pana poprzednie pytanie. Nie da się w realiach europejskich powielić modelu amerykańskiego. Naród amerykański – celowo mówię „naród” – tworzył wspólną historię. W Europie przez ostatnie tysiąclecie poszczególne grupy etniczne tworzyły swoją tożsamość w opozycji do kogoś, a tu nagle ktoś próbuje stworzyć człowieka zuniformizowanego. To nie może się udać i musi tworzyć antagonizmy. Antagonizmy na tyle silne, że nie ma miejsca na debatę, dialog. To odbija się zarówno na poziomie społecznym, jak i politycznym.

O próbie przenoszenia modelu amerykańskiego na grunt europejski w podobnym tonie wypowiada się były współpracownik prezydenta George’a Busha Jra, dr Leslie Lenkowsky. Czy to oznacza, że jesteście skazani na takie wzajemnie prężenie muskułów?

Dyplomacja to rodzaj interfejsu. A on nie może skłócać, bo jeśli podany zostanie zły sygnał z komputera do drukarki, to niczego nie wydrukujemy. Dlatego dyplomacja wraca do swoich korzeni, bo po prostu tam jest zapisana jej rola. Rola nawet nie tyle negocjatora, co mediatora. Trzeba znaleźć i zdefiniować wspólne obszary, w których można pracować i te, gdzie na razie nie ma pola do porozumienia. Potrzeba przekonywania oponenta zdrową argumentacją i zrozumienia stanowiska drugiej strony – nawet jeśli się z nim nie zgadzamy. Tylko w ten sposób jesteśmy w stanie się dogadywać. A przecież koniec końców o to chodzi. Europa zacznie wracać do prawdziwego pluralizmu i prawdziwej akademickiej dyskusji, gdzie nie będzie prób cenzurowania czy zmuszania kogokolwiek do autocenzury.

Obecne „wojenki” to zinstrumentalizowanie, wręcz zezwierzecenie dyplomacji. Przy rozwoju możliwości technicznych i socjotechnik, jaki obserwowaliśmy w ciągu ostatniej dekady, dyplomacja powinna być dzisiaj prowadzona na naprawdę wysokim poziomie i cechować się skutecznością działania. Tymczasem obserwujemy próby zaprzęgnięcia jej do własnych, doraźnych celów poszczególnych grup politycznych czy grup interesu, które liczą na krótkoterminowe efekty, osiągane na kadencję czy dwie. Trzeba zdać sobie sprawę, że dla wielu problemów potrzebujemy znacznie dłuższej perspektywy.

Na przykład?

Na przykład kwestia zderzenia kulturowego. Nie oceniam tego, tylko mówię o zjawisku. Dla nas obszar

kulturowy islamu jest niezrozumiały. Ale zamiast próbować to zmienić, próbujemy przykładać do tego świata nasze europejskie rozumowanie. Polityka multikulti, próbowana w Niemczech czy Francji, nie wypaliła. Kanclerz Merkel przyznała to już kilka lat temu, a mimo to brniemy dalej, nie szukamy innej drogi. Nie dostrzegamy też problemów wynikających z coraz intensywniejszą obecnością kultury chińskiej.

Kolejna sprawa to nasz kanon etyczny, który nie nadąża za rozwojem technologicznym. W Japonii dopiero co zezwolono naukowcom, by na świat przychodziły zwierzęta, którym wcześniej wszczepiane są ludzkie komórki macierzyste. Dzięki temu możliwe będzie wykształcanie u tych zwierząt ludzkich narządów, takich jak np. trzustka czy wątroba. Takie możliwości były już wcześniej, ale blokowały je względy etyczne. Teraz zgoda jest, chociaż problemy natury etycznej nie zostały rozwiązane.

Eksperymenty prowadzone są w Japonii, ale ich efekty mogą być użyteczne dla całej ludzkości. Podobnie jak dyskusja o etyce w nauce – prowadzona jest niezależnie od kraju. Jesteśmy tak zajęci bataliami politycznymi, że nawet nie pomyślimy, że czymś takim dyplomacja też mogłaby się z powodzeniem zajmować.

DR
**STJEPO
BARTULICA**



Europa wartości
czy Europa interesów?

**FILOZOFIA
POLITYCZNA**

Rozmowa ze Stjepo Bartulicą, doktorem filozofii politycznej na Katolickim Uniwersytecie w Zagrzebiu.



Rozmawia
Michał Banasiak

Michał Banasiak:

Jeśli przypomnimy sobie jak Europa wyglądała 20 czy 10 lat temu, aż trudno uwierzyć, że w tak krótkim czasie zaszło tyle zmian. Pomijając widoczne gołym okiem inwestycje z funduszy europejskich, mamy efekty decyzji politycznych: otwarte granice czy rozrost strefy euro. Równie znaczących zmian możemy spodziewać się w ciągu kolejnej dekady czy dwóch?

Stjepo Bartulica:

Ostatnie doświadczenia powinny nauczyć nas pokory przy prognozowaniu. Od dłuższego czasu Europa ma na głowie brexit, którego przecież kilka lat temu nikt by się nie spodziewał. To jak zakończy się sprawa wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej na pewno mocno wpłynie na dalszy kształt Wspólnoty i sprawi, że wiele dotychczasowych analiz i wizji będzie można wyrzucić do kosza. Ale na pewno aktualne pozostanie pytanie czy Europa powinna iść w kierunku "wspólnoty narodów" czy powrócić do współpracy w niektórych tylko obszarach – współpracy bardziej gospodarczej, a nie wspólnoty idei.

Dzisiaj to kluczowy problem, bo kraje członkowskie są podzielone na obozy, które ciągną w różne strony. Jeśli Unia ma mieć sens – najwyższy czas wybrać jakąś drogę. Trzeba usiąść do stołu i jasno powiedzieć czego oczekuje się od Unii. Nie może być tak, że każdy rozgrywa w Brukseli własne interesy i próbuje czerpać korzyści na użytek polityki wewnętrznej. To oczywiście, ale mam wrażenie, że zapomniane.

Jaki scenariusz ma pana zdaniem największe szanse powodzenia?

Nie przewiduję jednej drogi dla wszystkich krajów. Dla części z nich, zwłaszcza krajów Europy Zachodniej, Unia będzie wspólnotą przede wszystkim interesów. Te państwa są na tyle mocno splecione ekonomicznie, że nawet w przypadku upadku unijnego projektu, pozostałyby ze sobą mocno związane. Są świadome swoich wpływów, siły ekonomicznej i dzierżenia sterów statku pod unijną banderą. To te kraje jakiś czas temu zdecydowały o obraniu kursu na coraz silniejszą integrację i na coraz większą ingerencję przepisów unijnych w życie obywateli poszczególnych krajów. Stąd jasne jest, że dalej będziemy mieli do czynienia z przekonywaniem, że konieczne jest zacieśnianie współpracy.

Przeciwko czemu oponuje wielu polityków przekonujących, że integracja już za daleko zaszła.

Są mamy kraje, które przy obecnym układzie sił czują się wykorzystywane, zaniedbywane i do tego nie zgadzają się na kierunki wyznaczane przez Brukselę. Zwłaszcza jeśli chodzi o kwestie światopoglądowe. Te kraje, takie jak Polska czy Węgry, mocno odwołują się do wartości i tradycji chrześcijańskich. Wokół nich chcą budować swoje relacje i na nich opierać

wszelkie związki. Nie zgadzają się na zepchnięcie tego, w co wierzą na dalszy plan i na podporządkowywanie się dyktatowi silniejszych państw. Kiedy te kraje dołączały do Unii, wydawała się ona mieć same zalety i dawać jedynie korzyści. Teraz oczekuje się od nich nie tylko ustępstw, ale wręcz podporządkowania się, na co nie ma zgody ze strony obecnie rządzących w Warszawie czy w Budapeszcie. Oni chcą w większej mierze sami decydować o tym, co się dzieje na ich podwórku. Nie mówią "nie" Unii, ale mówią "nie" zapędom federacyjnym i traktowaniu ich jak graczy drugoplanowych. To dumne państwa, świadome swojego potencjału.



Instytucje publiczne powinny zająć się tylko podstawowymi dla funkcjonowania państwa sprawami i przestać traktować obywateli jak dzieci.

Wspomniał pan, że Polska jest wśród krajów, która chce budować "wspólnotę wartości". Niektórzy twierdzą, że problemy Unii wynikają z zatracania przez jej sterników wartości, na których Unię zbudowano.

Te wartości dawno się rozmyły. Jeśli ktoś się o nie upomina, to spotyka się ze sprzeciwem elit z krajów zachodnich, które od wartości chrześcijańskich już się oddaliły i teraz forsują zupełnie inną retorykę, często obcą korzeniom europejskim. To element walki politycznej. Próba stworzenia "nowego świata" i przekonania wszystkich, że po pierwsze to świat lepszy, a po drugie jedyny właściwy. Ja tego tak nie postrzegam. Dla mnie ta wszechobecna dyskusja o tolerancji to nic innego jak maska dla faktycznego tchórzostwa konkretnych liderów państw. Nie mają dość siły, żeby przeciwstawić się lobbowaniu różnych środowisk i dlatego zgadzają się na wszystkie ich postulaty. Nawet jeśli sami nie są przeciwko wierze czy tradycjom, to nie mają dość siły, żeby o tym głośno powiedzieć. I tu raz jeszcze pojawia się rozdźwięk między zachodnimi elitami, a liderami chociażby Polski czy Węgier. Ci ostatni są w stanie twardo bronić swojego stanowiska i nie poddawać się aktualnym trendom politycznym.

Mówimy o podziale wśród polityków, ale on przenosi się na poziom społeczny.

Obywatele Unii Europejskiej w dużej mierze zatracili ducha. Sprzyjają temu stabilne czasy i względnie wysoki poziom życia. Nie trzeba się martwić o zaspokojenie podstawowych potrzeb, co powoduje marazm i bierność. Nastąpił też zwrot w kierunku zeświecczenia i budowy nowego systemu wartości. Stąd podział, bo są i tacy, którym obecny stan rzeczy się nie podoba i głośno krzyczą, że odwrócenie się

od wartości, na których do tej pory bazowaliśmy, może nas wiele kosztować. Ale ich wołanie – chociaż ostatnio nieco głośniejsze – wciąż nie jest słyszalne.

Po ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego mam wrażenie, że linia podziału nie przebiega wzdłuż pomysłów na przyszły kształt Unii, a wyznaczają ją kwestie światopoglądowe.

Debata polityczna bardzo się zaostrzyła i zawłasczyła właściwie każdą dziedzinę naszego życia. Politycy chcą pokazać, że na wszystkim się znają, bo nie chcą być gorsi od swoich oponentów. Używają przy tym ostrego języka, bo to łatwo podchwytują wszechobecne media. Wyborcy są każdego dnia atakowani takim natłokiem informacji, że w końcu próbują sobie to wszystko uprościć i zaczynają opowiadać się nie za poszczególnymi propozycjami, a za konkretnymi politykami. Ci, czując niejako legitymizację od swojego elektoratu, stają się jeszcze ostrzejsi w osądach. I tak się to zamyka. A że najbardziej emocjonalnie angażujemy się w spory światopoglądowe, to po pierwsze takie zagadnienia politycy najchętniej wykorzystują, a po drugie tu podział najwyraźniej widać.



Albania, Bośnia i Hercegowina, Czarnogóra, Kosowo, Macedonia Północna i Serbia postrzegają dołączenie do Unii Europejskiej jako olbrzymią szansę.

Ale takich linii podziału, częściowo się nakładających, jest więcej: euroentuzjaści-eurosceptycy, więcej integracji-więcej suwerenności, itd..

Wszystko rozbija się o to kto, jak bardzo i w jaki sposób będzie wpływał na życie obywateli krajów Unii Europejskiej. Pan tymczasem opowiada się za tym, żeby politycy skupiali jak najmniej władzy, pozostawiając jak najwięcej decyzji w gestii obywateli.

Takie idee przyświecały mi podczas zakładania Centrum Odbudowy Kultury, działającego w Chorwacji. Politycy próbują nam wmówić, że tylko pod ich rządami będziemy żyć w bezpiecznym i bogatym kraju. Ale na to bogactwo pracujemy wszyscy każdego dnia, niezależnie od popieranej opcji politycznej. Instytucje publiczne powinny zająć się tylko podstawowymi dla funkcjonowania państwa sprawami i przestać traktować obywateli jak dzieci. Oczywiście początkowo będzie trudno, bo przyzwyczailiśmy się do prowadzenia nas za rękę. Ale jeśli obniżylibyśmy podatki i w naszych kieszeniach byłoby więcej pieniędzy, to bardzo szybko okazałoby się, że doskonale umiemy sobie poradzić bez państwa opiekuńczego i wszechobecnego, wszechwładzącego polityków.

Mamy wewnątrzunijne spory, wzrost poparcia dla eurosceptyków, brexit, ale są też kraje bałkańskie,

które chcą do Unii dołączyć. Kiedy byłem w Tiranie na szczycie procesu Brdo-Brijuni, liderzy tych państw z wielkim entuzjazmem wypowiadali się o swoich negocjacjach z Brukselą.

Albania, Bośnia i Hercegowina, Czarnogóra, Kosowo, Macedonia Północna i Serbia postrzegają dołączenie do Unii Europejskiej jako olbrzymią szansę. Po pierwsze mogłyby do nich popłynąć pieniądze z Funduszy Europejskich – a na przykładzie chociażby Polski widać jak duże zmiany się z nimi wiążą. Po drugie – może nie od razu, ale na pewno docelowo – otworzyłyby się rynki pracy państw Zachodu. Sama nasuwa się analogia do państw Europy Środkowo-Wschodniej przed 2004 rokiem. Tam też robiono wszystko, żeby znaleźć się w Unii. Potem oczywiście okazało się, że nie wszystko jest tak różowe jak wyglądało z zewnątrz, ale zmiany są zauważalne gołym okiem.

Po trzecie, jest ogromne poparcie społeczne dla dołączenia do Unii. Polacy, czy Chorwaci, którzy przecież dołączyli do Unii siedem lat później, czują się częścią Europy Zachodniej. Mogą podróżować po Europie jak po własnym kraju. Z kolei mieszkańcy wspomnianych sześciu krajów czują się w jakiś sposób izolowani. W dołączeniu do Unii widzą nie tyle korzyści polityczne i ekonomiczne dla kraju, co szansę na lepsze życie dla siebie i swoich bliskich.

A jakie szanse widzi w ekspansji na Bałkany Bruksela?

Można w ten sposób pokazać, że mimo zamieszania z brexitem wciąż są tacy, którzy zamiast opuszczać, chcą do Unii dołączać. Trudno zestawiać Wielką Brytanię z krajami Bałkanów, ale poniekąd byłaby to demonstracja, że Unia wciąż się liczy. Byłby to kolejny krok w kierunku zwiększenia siły politycznej Unii: więcej państw to większa reprezentatywność. To też większa powierzchnia i więcej obywateli. Otworzyłyby się nowe rynki zbytu i pracowników. Tu też pasuje analogia do dziesięciu krajów, które dołączyły do Unii w 2004 roku i oczekiwać jakie ówczesna "piętnastka" miała wobec tego rozszerzenia.

Entuzjazm w Brukseli jest, ale jednak umiarkowany. Słychać głosy, że chociaż wspólna droga już się rozpoczęła, to jednak do celu jest bardzo daleko.

Bardzo, bardzo daleko. Unia nie chce być traktowana jak bogaty wujek, który przygarnia pod dach uboższych krewnych. Bruksela mówi: czekamy na was, ale najpierw sami musicie popracować nad standardami, które u nas obowiązują. Są deklaracje wsparcia finansowego, merytorycznego, ale przede wszystkim jest oczekiwanie podniesienia poziomu życia mieszkańców krajów bałkańskich w ramach polityki wewnętrznej tych państw. Unijne prawo mówi wprost, że kraj-kandydat musi być gotowy do członkostwa w Unii gospodarczo, politycznie i prawnie. Na dzisiaj żadne z tych sześciu państw nie jest gotowe w żadnym z tych obszarów.



WIZJA
NOWEJ
EUROPY

ROZMOWY
O PRZYSZŁOŚCI
STAREGO
KONTYNENTU



Narodowy Instytut Wolności
Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego